Nr. 4. Kraków, Poniedziałek 23 Stycznia 1911. Rok II.

Ceny prenumeraty:
W Krakowie i na prowincyi:
z odnoszeniem i przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . K 1·80
Półrocznie . . . . K 3·50
Rocznie . . . . . K 6·—
W Niemczech i w innych Państwach Związku poczt.:
Kwartalnie . . . . . K 2·—

Rękopisów się nie zwraca.

GAZETA PONIEDZIAŁKOWA

wychodzi zawsze w Poniedziałek, o godzinie 6-tej rano.

Ceny ogłoszeń:
Ogłoszenia (inseraty) za 1 wiersz petitowy lub jego miejsce . . 20 h
Nadesłane, wiersz petitowy lub jego miejsce . . . . . . 80 h
Nekrologi za wiersz petitowy . 60 h
Doniesienia o ślubach zaręczynach itd wiadomości po 1 K za wiersz.
Drobne ogłoszenia za wyraz 6 h, najmniej 60 h.
Wyrazy grubszem pismem liczą się podwójnie.

Biura Redakcyi i Administracyi: Zielona 7, (Drukarnia A. Rippera)
Nr. telefonu 510.

Do nabycia na dworcach kolej. i ajencyach dzienników w całym kraju.
Cena numeru pojedynczego w Krakowie 10 h.

Nowy prezes Koła polskiego.

Jak zawsze, jak i we wszystkich innych „kwestyach“ i w sprawie wyboru nowego prezesa Koła sprawdziły się w całej pełni nasze informacye z Wiednia. Podczas gdy cała nasza prasa codzienna brała w rachubę tylko kandydatury posłów Stwiertni i Dr. Germana i jedynie widoki tych kandydatów rozważała, pismo nasze już doniosło, że trzeba się liczyć z tą ewentualnością, iż prezesem wybrana zostanie osobistość inna zupełnie, o której przedtem nie mówiono i nie pisano, dalej, że takie rozwiązanie kwestyi jest bardzo prawdopodobne. I nazwisko tej osobistości było nam już wówczas znane; wiedzieliśmy, że tym kompromisowym kandydatem pewnej grupy jest Dr. Łazarski, lecz nazwiska tego nie wymienialiśmy z dwojakich względów. Po pierwsze nie chcieliśmy wnosić nowego zamieszania do i tak już tem przesileniem skłopotanej opinii publicznej, a powtóre żywiliśmy jeszcze nadzieję, że w ostatniej chwili sprawa jednak inny weźmie obrót, że na krześle prezesa Koła zasiędzie ten kandydat, który do tej godności największe miał prawo, za którym i my jeszcze w poprzednim numerze gorąco przemawialiśmy.

Mimo wielkiej sympatyi, jaką mamy dla Dr. Stanisława Łazarskiego, otwarcie przynać się możemy, że wolelibyśmy inne rozwiązanie kwestyi osób w tej walce o prezesurę Koła.

Jako organ niezależny a szczerze demokratyczny nie popadamy w niesmaczny bizantynizm, jaki objawił się w całej naszej prasie, a który polega na tem, że nagle po dokonanym wyborze cała ta prasa bez względu na swoje stanowisko partyjne uważa za formalny akt zbawienia i najwyższą mądrość wybór członka Koła, którego kandydatura jeszcze dwa dni przedtem żadnemu z naszych organów prasowych na myśl nawet nie przyszła... Dla nas, którzy pragniemy nawet w polityce prawdy i szczerości, taki bizantynizm jest wprost wstrętny. Więc i dziś nie wahamy się zająć innego stanowiska i bez osłonek też wypowiedzieć nasze zdanie.

Wybór Dr. Stanisława Łazarskiego nie we wszystkiem przecie może być uważany za wynik „szczęśliwego przypadku“, bo przypadkiem tym aż nadto wyraźnie kierowała nowa intryga grupy wszechpolskiej w Kole. Jest on też i pozostanie tryumfem tej intrygi. Ni stąd ni zowąd, bez cienia nawet jakiegokolwiek uprawnienia grupa wszechpolska skonstruowała dla siebie w sprawie wyboru prezesa nową jakąś formę „liberum veto“. Straszny ten przywilej dawnych warchołów szlacheckich na nowo ona wskrzesiła, na nowo teraz wprowadziła go do polityki wewnętrznej naszej reprezentacyi parlamentarnej. Zastrzegła się bowiem, że prezesem Koła nie może być osobistość, któraby jej była nie na rękę, chociażby miała za sobą olbrzymią większość Koła! Było to bezwzględnem podeptaniem podstawowej zasady nowoczesnego parlamentaryzmu — jednak znalazło uwzględnienie...

Takiego zwrotu doprawdy nie uważaliśmy za możliwy w naszej reprezentacyi parlamentarnej roku 1911. Nie uważaliśmy za możliwe, że Koło poddać się zechce temu bezprzykładnemu wprost warcholskiemu teroryzmowi grupy, stanowiącej zaledwie czwartą część Koła! A jednak tak się stało, ku wielkiemu ubolewaniu wszystkich ludzi prawych i trzeźwo się na nasze sprawy zapatrujących, a ku wielkiej szkodzie powagi i znaczenia Koła.

Śmiesznem bo jest obecne — post festum — usiłowanie wielu naszych organów prasy, aby przedstawić ten wybór w Kole jako dowód wewnętrznej jego konsolidacyi. Rozmyślne to wprowadzanie w błąd opinii publicznej u nas. Czem jest ten akt i za co on jedynie może być uważany, to dobitnie też określa wroga nam prasa niemiecka, dopatrująca się w nim jedynie nowego dowodu wewnętrznego rozkładu w Kole i zupełnej w nim anarchii.

Tylko tem mianem nazwać można fakt, że Dr. German nie mógł być wybrany prezesem Koła mimo wielkich do tej godności kwalifikacyi, ponieważ z osobistej i partyjnej niechęci i zemsty sprzeciwiło się temu kilkunastu posłów wszechpolskich! Objawem konsolidacyi wewnętrznej byłoby właśnie coś zupełnie przeciwnego, byłby jedynie wybór Dra Germana, jako tego posła, który do tej konsolidacyi już od roku nawoływał, a który oparł na niej cały swój rozumny program polityczny. Fakt, że ogromna większość Koła na taki fakt zdobyć się nie umiała, wykazuje chyba najdobitniej, że o wewnętrznej konsolidacyi w Kole mowy być nie może, że partyjne względy zawsze jeszcze w niem górują nad dobrem ogółu, nad dobrem całości.

I właśnie ze względu na to tem bardziej ubolewamy, że kierownictwo Koła nie dostało się w ręce tego męża, po którego dobrej woli, energii, roztropności i doświadczeniu politycznem należało się spodziewać, że będzie umiał zawładnąć rozbieżnymi kierunkami, stłumić warcholstwo i anarchię w Kole, przywrócić mu dawną powagę na zewnątrz.

Dziś to zadanie złożono w ręce Dr. Stanisława Łazarskiego. Raz jeszcze zaznaczamy, że jest on nam bardzo sympatyczny tak jako człowiek i obywatel, jak i jako działacz publiczny. Lecz na arenie walk parlamentarnych w Wiedniu jest on przecie jeszcze homo novus. Od trzech lat zasiada dopiero z Kole, od trzech lat dopiero bierze udział w tym wirze politycznym, jakim jest polityka wewnętrzna w Austryi, a w większej jeszcze

Tuberosy.

Niebacznie na stół rzucone, pomięte białe tuberozy, wypełniły odurzającą swą wonią pokój cały; znalazła je w zarzutce swego męża. Bóg wie, skąd one pochodziły.

Gorzki uśmiech zamigotał na ustach młodej kobiety. Następnie wzięła szeroki kołnierz wallensteinowski i ociężale, znużona zanurzyła się w narożniku sofy, by zająć się jego naprawą. Szyła początkowo pilnie, gorączkowo, potem coraz wolniej — aż wreszcie ręce jej opadły bezwładnie.

Świeża fala woni, porzuconej na stole tuberozy owiała ją i natarczywie tłoczyła się, wkręcała w jej mózg, porywając ją w wir wspomnień rzeczy odległych, minionych, przepadłych. Tuberozy? Jakie wspomnienia niosła ich woń?

Czemu jego sobie wybrała, czemu została jego żoną?... I nagłą, jasną rażona świadomością, ujrzała to, co łączyło się z wonią tuberozy, ujrzała i nie miała siły oprzeć się wyrastającym z furyą opętańczą wspomnieniom i przeszłości obrazom, które jak wampir wżerały się w jej chore serce. Krew uderzyła do głowy, pierś falowała ciężko...

Była panienką ośmnastoletnią i piękną jak greczynka. I kochała, jak tylko podlotek kochać umie, i marzyła o królewiczu, co to udał się w podróż do okoła świata, aby odnaleść ją, zaklętą księżniczkę.

Ów królewicz wszakże był marynarzem, człowiekiem twardym. Gdy zdarzyło się, że chwytał dłonią żelazną za ster, by hardo stawić czoło burzom i nawałnicom rozpętanych żywiołów morskich, wówczas sercem gorejącem był przy niej; a obraz jej wywoływał w nim dreszcze, które z trudem tylko pokonywał, by nie krzyczeć. Krew w nim grała, krew młodzieńcza, i budziła żądze tysiączne, nienasycone. I wówczas marzył o tem, jak zostanie kapitanem i połączy się z nią węzłem wieczystym, a potem, jak to odbywać będą podróż poślubną dookoło świata, na jego okręcie. Co prawda nie tak łatwo znowu zdobyć stopień kapitana, ale przecież zdobyć go musi i to jak najprędzej, aby z nią, tą ubóstwianą, połączyć się na wieki.

A ona — drżała z radości, gdy podczas wakacyi przy boku jej siedział, i opowiadał o cudach świata, które jej, jako małżonce jego, miały się niebawem objawić. Opowieści te upajały wrażliwą duszę dziewczyny, podobnie jak ongi opowieści z tysiąca i jednej nocy. I czembardziej pożądał w niej kobietę, tem częściej ona... nie widziała w nim mężczyzny. Bujała w obłokach — mimo ukończonych ośmnastu lat... była dzieckiem.

— Julo — pytał się królewicz — czy bardzo mnie kochasz?

A ona zdziwionym wówczas spoglądała nań wzrokiem i odpowiadała spokojnie: Oczywiście, Jurku.

— To pocałuj mnie.

I pocałowała go. Ale gdy ją objąć chciał i do piersi spragnionej przycisnąć i całować, całować bez pamięci, natenczas zakryła twarz dłonią i zadąsana mówiła: Przestań Jurku. Bardzo nieładnie, że nie chcesz mi nic opowiedzieć o kobietach w Abesynii. Opowiadał więc szczegółowo o wszystkich kobietach na wschodzie, gdy tymczasem pierś jego wypełniał czar niewysłowiony tej jednej, tej, która przed nim siedziała z iskrzącym, gorącym a marzycielskim wzrokiem.

— Opium palą? — pytała ciekawie. — I t.

mierze w Kole samem, a w którem kierującemu politykowi potrzeba nietylko wrodzonej roztropności i energii, ale także sporego zasobu doświadczenia i zdolności dyplomatycznych. Ponieważ zaś stał na uboczu, do żadnej partyi nie należał, bodaj czy go wtajemniczano w arkana zawiłej gry zakulisowej.

Lecz mówią o nim, że jest człowiekiem, nietylko energicznym ale i twardym. Być może, że ten przymiot ułatwi mu spełnienie ciężkich czekających go zadań. Twardym powinien on być nie tylko w obronie interesów kraju wobec rządu i stronnictw innych w parlamencie, lecz przedewszystkiem względem rozbieżności partyjnej w Kole samem. Twardą, żelazną wprost ręką powinien on stłumić zwłaszcza warcholskie partyjno-egoistyczne zakusy grupy wszechpolskiej, tej grupy, która okazała się największym szkodnikiem dla powagi Koła i dobra kraju. Gdy tego dokona, spełni lwią część swego zadania i już przez to samo zasłuży sobie na wdzięczność ogółu. Niechże i poza tem obierze drogę wskazaną w programie Dr. Germana, niech jego powoła do najbliższej swej rady i wraz z nim pracuje wytrwale nad swadliwą wewnętrzną konsolidacyą Koła.

Kraj, trapiony nędzą, krzywdzony i postponowany na każdym kroku przez rząd centralny, domaga się od swej reprezentacyi w Wiedniu pszedewszystkiem pozytywnej pracy w kierunku ekonomicznym i społecznym. Niechże nowy prezes w tym kierunku wytęży swoje siły i zdolności, niech powie sobie, że godność prezesa Koła jest wyższa niż godność ministra, niech podług tego postępuje, — a napewno zdobędzie sobie w kraju i w parlamencie ogólne zaufanie, niezbędne, jeśli ma należycie strzedz dobra kraju!

Przesilenia a mieszczaństwo.

Wstrząsające wewnętrzną polityką Austryi tak częste przesilenia parlamentarne i gabinetowe utrudniają i opóźniają ogromnie cały jej rozwój i postęp kulturalny i gospodarczy. Są jednak grupy narodowe społeczne i grupy pewnych „interesentów“, które na takich przesileniach nie źle, a nawet dobrze wychodzą i wcale korzystne przytem robą interesy.

Wiadomo, że niema prawie przesilenia, nie ma targów o teki ministeryalne, przy którychby nie uszczknęli coś dla siebie sprytni nasi pobratymcy — Czesi.

Ale i wśród nas nie brakuje jednostek i całych grup, które również na owe przesilania skarżyć się nie potrzebują.

Przedewszystkiem dogodne to bardzo pole dla wszystkich awansów... poselskich. Jedni zagarniają teki ministeryalne, a następnie piękne ministeryalne emerytury, 'inni wyższe stanowiska i urzędy, inni wreszcie tytuły i ordery. A wszystko to dla... „dobra kraju“, chociaż same już a tak niezmiernie liczne w Austryi emerytury ministeryalne bardzo obciążają budżet państwowy.

Niemal zawsze też przy takich przesileniach, targach i zmianach spada coś na stół panów urzędników państwowych. Każdy kandydat na posła, jak wiadomo, ubiegający się o urzędnicze głosy, wystawia tym wyborcom w zamian za nie pewnego rodzaju „weksle moralne“ w formie aż nazbyt hojnych przyrzeczeń, które następnie, gdy dobije się bardziej wpływowego stanowiska, realizować musi. Tak np. jedno z pism lwowskich dziś już przypomina nowemu ministrowi kolejowemu tego rodzaju weksle moralne, wystawione rzekomo urzędnikom kolejowym i wyraża nadzieję, że dr. Głąbiński nie omieszka teraz sumiennie niścić się z tych swoich zobowiązań.

Na ostatniem, co dopiero skończonem przesileniu, doskonały interes zrobili także nasi konserwatywni agraryusze. Otrzymali oni w osobie nowego ministra dla Galicyi protektora dla swoich agrarnych interesów i postulatów, jak lepszego wymarzyć sobie nie mogli. Bo że pan minister Zaleski przedewszystkiem o dobro agraryuszów dbać i troszczyć się będzie na nowem swojem stanowisku, to żadnej nie ulega wątpliwości.

Jest atoli w naszym kraju jedna grupa społeczna, która stale z takich wstrząśnień i przesileń wewnętrznych w państwie wychodzi z próżnemi rękami, bez najmniejszej korzyści a często wprost z nową szkodą, grupa, której nikt o zdanie nie pyta, a której interesa wszyscy ignorują.

Grupą tą jest nasze mieszczaństwo, owa wielka rzesza kupców, małych przemysłowców i rękodzielników, handlarzy, właścicieli miejskich realności i innych w mieście wolno zarobkujących. Na tej kategoryi obywateli państwa ciążą największe podatki państwowe, krajowe i gminne: dochodowe, zarobkowe, domowo-klasowe i czynszowe i mnóstwo innych, nadto zaś najrozmaitsze ciężary socyalne, jak opłaty do kas chorych, ubezpieczenia urzędników prywatnych i t. d. Na niej, na jej kierunkach najdotkliwiej odbija się każde wewnętrzne przesilenie gospodarcze. Ta grupa obywateli państwa dziś np. najdotkliwiej odczuwa panującą u nas drożyznę, a dodatków drożyźnianych znikąd nie otrzymuje.

Spodziewaćby się zatem należało, że w zamian za to też reprezentacya nasza parlamentarna przedewszystkiem o jej dobro starać się będzie, jak najczujniejszą otaczać opieką.

Lecz w rzeczywistości zupełnie przeciwnie się dzieje. O niej nikt nie pamięta. O jej dobro nikt się nie stara.

Przyczyną tego jest przedewszystkiem to, że niema ona w Kole polskiem reprezentantów ze swego łona. Ci, którym mieszczaństwo nasze oddaje głosy przy wyborach, nie mają należytego zrozumienia dla jej potrzeb i interesów, nie starają się nawet poznać ich należycie.

To też i z ostatniego przesilenia dla mieszczaństwa naszego nic nie wynikło dobrego. Właśnie bowiem stronnictwo, które uchodzi za reprezentacyę kół mieszczańskich w Kole, stronnictwo demokratyczne, nic przytem nie otrzymało, straciło nawet tę jedną placówkę w rządzie, jaką posiadało: ministerstwo dla Galicyi. Gdy teraz rząd wystąpi z nowymi projektami podatkowymi, które naturalnie znów obciążą przedewszystkiem galicyjskie mieszczaństwo, walczące z największemi gospodarczemi trudnościami, któż się za nimi ujmie, któż je bronić będzie?

Lecz do pewnego stopnia mieszczaństwo nasze samo winno, że jest prawdziwym kopciuszkiem w naszem społeczeństwie krajowem. Dotychczas bowiem zawsze wysługiwało się tylko innym, a o własne dobro o własne prawa polityczne i społeczne mało dbało. Jeśli więc pragnie zdobyć sobie większe polityczne znaczenie i lepszy byt, musi koniecznie zmienić swoją taktykę polityczną, stanąć na własnych nogach i swoje sprawy we własne ująć ręce.

A do tego rychlej może nadarzy się sposobność, niż wielu mniema i przypuszcza. Wiadomości z Wiednia zapowiadają w coraz pewniejszej formie rychłe rozwiązanie parlamentu i nowe wybory. Gdy to nastąpi, nadejdzie pora, w której mieszczaństwo energicznie o swoje prawa upomnieć się musi.

Przedewszystkiem będzie trzeba pomyśleć o własnych, mieszczańskich kandydatach poselskich, takich, którzyby dolę mieszczaństwa dobrze znali z własnego doświadczenia, z własnych cierpień i kłopotów, a nie tylko z opowiadania, ze skarg wytaczanych na zebraniach przedwyborczych. Dla czego posłem z Krakowa lub z miast prowincyonalnych nie ma być także zdolny kupiec lub światły przemysłowiec? Jeśli jednakże mieszczaństwo nasze pragnie dobić się do głosu w parlamencie przez własnych posłów, jeśli pragnie uzyskać głos w częstych targach przesileniowych — musi zawczasu stworzyć sobie odpowiednio silną organizacyę polityczną.

„Gazeta Poniedziałkowa“, która jako organ na wskróś demokratyczny a niezależny, zawsze występowała w obronie interesów naszego mieszczaństwa, chętnie do tego dopomoże. Niechże mieszczaństwo nasze skupi się wkoło tego, na razie jedynego swego organu, niechże przy jego pomocy dzielnie i wytrwale walczy o to, ażeby spraw mieszczaństwa nadal nie zaniedbywano, ażeby otrzymało ono w Kole polskiem odpowiednią reprezentacyę i posłuch także dla swego głosu!

Prosimy domagać się w kawiarniach, restauracyach i t. d. „Gazety Poniedziałkowej“.

---

oszołamia rzeczywiście tak bardzo rozkosznie? ...Jurku gdy ciebie całowałam, doznałam również na chwilę jakby zawrotu głowy. Byłam oszołomiona — ale to pewnie od twego kwiatka.

I wskazała na tuberozę w jego butonierce. Był to jego najmilszy kwiat, z którym się wogóle nie rozstawał.

Jula miała także drugiego przyjaciela. Był on członkiem trupy teatru miejskiego i odnajmował u jej matki pokoik meblowany. Gdy występował na scenie jako Romeo lub Otello, natenczas siedziała w ofiarowanej przez niego loży aktorskiej i jako dziecię bezwolne, pozwalała się uprowadzać w krainę marzeń. Jur jednak gniewał się bardzo, gdy zastał aktora w pokoiku swej ubóstwianej i jej matki. Aktor był dla niego uosobieniem nieznośnego pyszałka, gogusia zblazowanego, pozera, zarozumialca, pozbawionego krwi zdrowej i tężyzny. Do tego rodzaju ludzi czuł wstręt nieprzezwyciężony; nie widział w nich męskości. Instyktownie węszył w nim zawodowego uwodziciela, który tak... z kwiatka na kwiatek... zerwie i rzuci. Nienawidził go.

Pewnego dnia przybiegł Jur pijany radością. Oto szef powierzył mu kierownictwo okrętu „Patria“, który miał popłynąć do kolonii po raz pierwszy pod jego dowództwem. Teraz tylko ślub z Julą — i marzenia jego spełnione. Boże, jak on jej pragnął! jak pragnął całować jej usta karminowe, jej oczy — gwiazdy marzycielskie, jak pragnął ją posiąść tak całą, bez pamięci... Nagle dziwne jakieś uczucie ścisnęło go za krtań i dusić poczęło... Aktor siedział przy niej. A ona zaledwie spojrzenie przelotne rzuciła na niego, pochłonięta zupełnie opowiadaniem aktora. A łotr bredził właśnie o związku dusz, o miłości platonicznej; zmiarkował doskonale, w jaki sposób usidlić pragnie swoją ofiarę. Pewien siebie, z pobłażliwym uśmiechem spojrzał na Jura i wyszedł po książkę jakąś do swego pokoju.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, a już Jur znalazł się u boku swej ukochanej. Jej kibić wiotką objął swemi silnemi ramionami, przycisnął do piersi i jął palić ją szalonymi pocałunkami. Dreszcz lęku i wstrętu wstrząsnął nią okropny, pociemniało jej w oczach, uderzała rękami o pierś jego, aby ujść jego pocałunkom...

— Julo — bełkotał prawie nieprzytomny — Julo, Ty moja... Jestem już kapitanem, teraz do mnie należysz, tylko do mnie! Julo...

— Nie chcę, słyszysz — nie chcę!

Nie zrozumiał jej i objął ją na nowo. Ona wytężyła resztki sił.

— Nie chcę... nie tykaj mnie... to — to podłość...

Cofnął się gwałtownie. Aktor stał przy drzwiach uśmiechając się nieznacznie. Jula podbiegła do niego i kurczowo przytuliła się do jego piersi.

— Ratuj mnie, ratuj mnie pan przed tym brutalem!...

Z drwiącym uśmiechem wskazał aktor na drzwi i szepnął:

— Widzi pan, że pani Jula czuje wstręt do miłości zmysłowej, brutalnej.

Teraz już przestał panować nad sobą krewki marynarz. Nie zważając na obecność kobiety w pokoju, wymierzył zuchwalcowi sążnisty policzek i wybiegł jak szalony, na powietrze, do portu, do swego okrętu...

— — — — — — — — — — —

— Julo!

A gdzie rzecz główna?

Ben Akiba nie ma racyi. Są jeszcze rzeczy niebywałe na świecie. Przykładem na to ostatnie przesilenie gabinetowe w Austryi.

Dotychczas bywało zwykle tak, że przyczyna, która spowodowała upadek jakiego gabinetu, była potem osnową, punktem wyjścia, treścią i główną osią całego przesilenia, a zarazem kwestyą utworzenia nowego gabinetu. Weźmy np. sprawę upadku gabinetu Badeniego. Obaliły go rozporządzenia językowe dla królestwa czeskiego i o nie też rozchodziło się wyłącznie podczas następnego przesilenia i przy utworzeniu nowego rządu. Rząd ten utworzyć zdołano jedynie pod warunkiem, że owe rozporządzenia Badeniowskie zostaną cofnięte, co się też stało. I przy wszystkich innych podobnych działo się tak samo. Nowy gabinet obejmował rządy dopiero po usunięciu przyczyn, które spowodowały upadek poprzedniego.

Dziś tymczasem stało się coś zupełnie innego, nowego.

Przyczyna obalenia gabinetu Bienerta-Bilińskiego była **sprawa kanałów**. Dla niej to zagroziło Koło polskie rządowi odmówieniem budżetu, dla niej uznał on za stosowne jeszcze przed tym odwetem poprosić Koronę o dymisyę. Wiadomo, że i cała prasa niemiecka, zwłaszcza wiedeńska, uznała tą sprawę za jedyną, a conajmniej główną oś przesilenia i że ta sprawę miotała z początku gromy potępienia na Koło polskie.

Spodziewać się więc należało, że koło tej osi obracać się będzie cały dalszy przebieg tego wewnętrznego wstrząśnienia politycznego w Austryi, że każdy nowy kandydat na prezydenta gabinetu znajdzie się wobec alternatywy: Hic „kanały" — hic salta". Tego byłby się napewno spodziewał także świętej czy błogosławionej pamięci Ben Akiba.

A jednak stało się inaczej!

Gdyby ktoś z zagranicy, nieznający stosunków austryackich, który przedtem nie zajmował się tą sprawą — nagle zwrócił uwagę na to wewnętrzne austryackie przesilenie, zmuszony byłby zapytać: o co właściwie chodziło? o co się kłócili?

Nigdy bowiem jeszcze podczas takiego „przewrotu" nie mówiono tak mało, tak wcale nic o tem, co go spowodowało, jak w tym wypadku. Po krótkiej owej początkowej burzy sprawa kanałów znikła z widowni zupełnie, wszyscy, jakby na dany znak, nie wspominają o niej ani słowem.

Nawet w licznych naszych interwiewach z najwybitniejszymi członkami parlamentu austryackiego, zamieszczonych w numerze świątecznym „Gazety Poniedziałkowej" jakże mało było o tej sprawie już nie mowy, ale nawet delikatnych wspomnień i wzmianek. Jeżeli który z owych polityków wogóle o niej wspomniał, to stało się to niejako mimochodem, nawiasowo, brzmiało mniejwięcej tak: „Ach! prawda! przypominam sobie! jeszcze ta sprawa kanałowa! Ale to drobnostka! rzecz podrzędna!" Wszyscy, ale też wszyscy zajmowali się w daleko większej mierze.... rokowaniami czesko-niemieckiemi w Pradze, od nich to głównie uzależniali swoje poglądy na dalszy przebieg przesilenia. Zupełnie tak samo zaś postępowała cała wiedeńska prasa niemiecka. I ona kwestyę tych rokowań oraz ich wysuwała na plan pierwszy. Ręczymy też za to, że dziś przeciętny „Michel" niemiecki w obu Austryach i w krajach alpejskich jest święcie przekonany, iż poprzedni gabinet Bienertha obaliło nie Koło polskie, lecz że uczynili to Czesi. Łatwo zaś być może, że takie samo mniemanie istnieje także w szerszych kołach polskich.

Doszło wreszcie do tego, że baronowi Bienerthowi powierzono zadanie utworzenia gabinetu nowego, i wtedy przypuszczaliśmy, że przynajmniej przy tem odezwie się znów echo sprawy kanałowej, że ona to stanie się osią dotyczących układów ze stronnictwami, że przynajmniej Koło polskie, wysunie ją znów na plan pierwszy, uprzytomni Niemcom i Czechom, że przecie o tę sprawę głównie się rozchodzi!

Gdzież tam! znów stało się zupełnie inaczej, wręcz przeciwnie! Rzecz niesłychanie znamienna, że właśnie Koło polskie w tem przesileniu o sprawie kanałowej milczało — **najdyskretniej**.

A przecie właśnie przywódcy Koła ubiegali się najgwałtowniej o teki w nowym gabinecie! Chłopskim tylko rozumem oceniając całą sprawę, przypuszczać należało, że oświadczą oni z góry: Weźniemy teki, lecz **tylko za cenę kanałów**. Lecz cóż znaczy uczciwy chłopski rozum wobec macchiawelskiej przebiegłości wielkich naszych polityków w Kole?

Z początku nie wspominali oni wogóle o kanałach ani słówkiem. Później dopiero, gdy w kraju powstało z tego powodu jeszcze zdziwienie i gdy sprawa rozstrzygnąć się miała, raczono wreszcie i tę drobnostkę wciągnąć w rachubę. Czytaliśmy wówczas w urzędowych i pierwszorzędnych organach Koła takie informacye pełne głębokiej mądrości:

Poseł Głąbiński nie może objąć teki ministerstwa skarbu, ponieważ jako taki miałby potem trudności z kanałami, takie same, jakie trapiły ministra Bilińskiego; nie może on także objąć teki ministra handlu, ponieważ ministerstwo to oświadczyło się również przeciwko budowie kanałów; niedostępna jest dla niego wreszcie i teka ministra robót publicznych, ponieważ to ministerstwo fałszywemi swemi obliczeniami usiłowało wprost zaprzepaścić kanały, zrazić do ich budowy niemieckich i czeskich interesentów. Więc poseł Głąbiński może przyjąć tylko inną jaką resortową tekę.

Mniej skrupulatnym jeszcze okazał się poseł Stapiński, ponieważ mimo tych przeszkód gotów był przyjąć jakąkolwiek tekę.

Te „wyjaśnienia" — to drwiny z opinii **publicznej**, z naiwności poczciwego społeczeństwa polskiego, które okłamywane przez pewną część prasy, nie umie zrozumieć, w jak wstrętny sposób jego „przywódcy" parlamentarni wywodzą je w pole.

Wiadomo przecie, że o tak ważnej sprawie, jak budowa kanałów, nie decyduje jeden tylko minister, lecz **cały gabinet**. Czy więc poseł Głąbiński będzie ministrem tego lub owego wydziału — jeśli wogóle wstąpił do gabinetu bez zastrzeżeń, dał wymowny dowód, że o budowę kanałów absolutnie mu nie chodzi. Bo jako członek **gabinetu, który w całości swej kanałów budować nie chce** — i **on ten polski minister** — **musi być przeciwnikiem kanałów**.

A że baron Bienerth o ich budowie ani słyszeć nie chce, z tem sam się nie taił, a ostatnia deklaracya w sprawie kanałów, jest poprostu frazesem nie obowiązującym, ani też przez nikogo na seryo nie branym.

Wobec tego pytamy: **gdzie się podziała rezolucya Koła za kanałami**, dla czego **obalono poprzedni gabinet?**

Pytamy dalej: A gdzie rzecz główna, co polscy członkowie gabinetu powiedzą społeczeństwu, gdy kanałów ono nie otrzyma?

Igranie z ogniem.

Nad uniwersytetem Jagiellońskim w Krakowie groźne zawisło niebezpieczeństwo. Zanosi się na to, że może on narazić na szwank dobrą dotychczas swoją sławę, jako poważnej „almae matris" nauk i łaknącej nauki młodzieży — a zgobyć sobie fatalną reputacyę instytucyi **stronniczo-politycznej**.

Niebezpieczeństwo to grozi nie wskutek głośnej sprawy ks. prof. Zimmermana. W sprawie tej zabraliśmy głos już przed kilku tygodniami, wyjaśniając jądro rzeczy i właściwy jej charakter, a zarazem przestrzegając władze uniwersyteckie przed nierozważnymi w tej sprawie krokami. Następnie wstrzymywaliśmy się umyślnie od poruszenia tej sprawy. Raz dlatego, aby nie dolewać oliwy do ognia, nie pomnażać ogólnego i tak już wielkiego rozdrażnienia, a potem w nadziei, że pod naciskiem opinii publicznej sprawa ta sama weźmie pomyślny obrót.

Niestety stało się inaczej, nadzieja ta zawiodła; zawiodła zaś mimo nowych okoliczności i faktów, któreby powinny były skłonić władze Wszechnicy Jagiellońskiej do **zrozumienia** popełnionego błędu i do **nawrócenia z fałszywej drogi**, na którą wstąpił.

Gdy pisaliśmy pierwszy nasz artykuł w tej sprawie, mogło się jeszcze zdawać, że opozycya większości młodzieży uniwersytetu krakowskiego przeciwko narzuconemu mu profesorowi jest w znacznej mierze tylko wynikiem nie we wszystkiem własnego **uprzedzenia**. Tak przynajmniej wówczas jeszcze rzecz całą przedstawić mogli obrońcy tej dziwnej profesury.

Dziś przedstawia się nam ona w innem już zupełnie świetle, dziś okazało, się, już w całej pełni, że młodzież krakowskiego uniwersytetu o kwalifikacyach naukowych nowego profesora **lepiej była poinformowana**, niż senat Wszechnicy; albo też że jeśli szła w tym wypadku tylko za głosem swego instynktu, instynkt ten był zupełnie **trafny i uzasadniony**. Młodzież krakowskiej wszechnicy nie po raz pierwszy zresztą daje dowód tak wysokiego poziomu inteligencyi i zmysłu krytycznego.

Dziś prysła do reszty sztuczna aureola, jaką sfery klerykalne z początku starały się otoczyć osobę i działalność naukową prof. Zimmermana. Ironia losu zrządziła, że aureolę tę zdarł i rozwiał przedewszystkiem on sam, a potem człowiek z jego własnego obozu — krytyk klerykalny. On sam nieśmiertelnie wprost ośmieszył się własnem swojem dziełem, ową nędzotą literacką, zatytułowaną „Moja Pani", o jego zaś „kwalifikacyach" naukowych i... osobistych miażdżący wprost sąd wydał ks. **Hozakowski**, poważny jego konfrater poznański. Po dwóch tych cio-

---

Młoda kobieta ocknęła się; szybko, z lękiem, sięgnęła po zaczętą robotę. Jej mąż wołał.

— Julo! — rozległo się ponowne niecierpliwe wołanie. — Do dyabła, co się z tobą właściwie dzieje? Czemu się nie odezwiesz kiedy ja wołam?

Uczucie nienawiści załopotało w jej sercu i mózgu. Mimo to wstała i udała się do sypialni. Roman dopiero co się zbudził. Spał do południa, ponieważ wrócił dopiero nad ranem.

— Spiesz-że się, bo muszę uciekać do teatru — ziewał. — A czy sporządziłaś kołnierz? Dawaj bo gwałt.

— Co tobie? — zapytał po chwili tonem łaskawszym, ubierając się. — Wiesz, wczoraj dokonałem znowu wspaniałego dzieła. Porwałem wszystkich, dosłownie! Kobiety szalały!... Ale spiesz-że się do kroćset, słyszysz, że się spieszę.

Pomagała mu apatycznie.

— Czy wrócisz dziś do domu zaraz po przedstawieniu — zapytała.

— Także coś!? Przecież muszę się choćby cokolwiek rozerwać.

Milcząco odprowadziła go do drzwi, poczem krokiem chwiejnym, ociężałym wróciła do swego starego miejsca. Gorzki grymas zastygł dokoła jej ust.

Oszukiwał ją. Wiedziała o tem już dawno. Sądziła, wierzyła ślepo, że przy nim znajdzie pełnię uczuć miłości najtkliwszej i najwznioślejszej. A to było głupstwo błazeństwo! Słodkiem słowem ją ukołysał, przywłaszczył,by zaraz potem strącić do rzędu kucharki czy posługaczki, bez której obejść się nie mógł. A że się z nią ożenił, tem lepiej dla niego, bo tym wierniejszą posiadł sługę. Miłość? — Ach! wszakże ona była, jest tak strasznie nudną, a on — on był, jest przecież bohaterem, ulubieńcem miasta. Oszukiwał ją. Dawno już jej nie pożądał.

Woń zwiędłych tuberoz doprowadzała ją do szaleństwa. A może to nie ten zapach nieszczęsny, a tylko wspomnienie dawnego umiłowanego? Była dzieckiem i bała się jego miłości żywiołowej. Dziś jest kobietą i pożąda go gwałtownie, rwie się do niego całą swoją istotą.

Zwiędłe tuberozy działały na nią jak narkotyk. Chciała je zniszczyć, zdeptać, ale zabrakło jej sił, odwagi. Kto mu je dał, skąd je przyniósł? Gorąca fala wstrząsnęła jej ciałem, w piersiach oszalałe tłukło się serce, chciała krzyczeć a krzyk uwiązł jej w krtani. A wreszcie rozdarł powietrze krzyk krótki, urwany, straszny. Zsunęła się na kolana, głową uderzyła o krzesło.

— Jurku!... Jur... — grało jej w piersiach, mózgu, w każdej kropli krwi. — Boże bądź miłościw!...

„Patria" stał w porcie, wiedziała. A więc powrócił on, on, co płomiennym swoim pocałunkiem pierwszy zbudził w niej kobietę, choć na krótko tylko. I znowu ujrzała go, tego silnego, opalonego i wiernego lwa morskiego i tęsknota gwałtowna siepać nią poczęła, tęsknota dzika, opętańcza.

Podniosła się i trwożnie spojrzała dookoła siebie. Rozwód! Słowo to przeszyło jej mózg jak błyskawica. Lecz zanim to nastąpi, pozostać musi tutaj, przy tym, tym...?! Nie, nie! za nic w świecie, by z nim, pod jednym dachem!... I czemuż on przyniósł te tuberozy? Precz, precz stąd! Lecz dokąd? Do Jura? — A jeżeli on ją od siebie odegna, kopnie z pogardą jak psa?

Jeszcze chwila walki, zarzuciła płaszcz i wybiegła, uciekła. Musiała zobaczyć Jura!

W pokoju unosiła się ciężka, odurzająca woń tuberoz.

---

sach straszliwych z naukowej i osobistej „powagi“ nowego profesora krakowskiego nie pozostały nawet strzępy; pozostała jedynie zarozumiałość i blaga i... śmiała postawa agitatora politycznego i partyjnego.

Właściwie zaś i tych „ciosów“ nie było trzeba, ażeby ukazać nam rzeczywistą wartość nowego docenta. Odsłoniły ją już dostatecznie pierwsze zaraz publiczno-naukowe jego występy w uniwersytecie, które rozczarowały nawet garstkę młodzieży, ślepo wierzącą zapewnieniom klerykalnych protektorów ks. Zimmermanna. Lista jego słuchaczów maleje z dnia na dzień...

Spodziewać się należało, że senat Uniwersytetu, przekonawszy się, jaki błąd popełnił, powierzając ks. Zimmermanowi tak ważną, nowo stworzoną katedrę, co więcej, tworząc tę katedrę umyślnie dla niego z ujmą dla świeckiej nauki socyalnej, uderzy się w piersi i usilnie starać się będzie błąd ten naprawić. Spodziewać się należało, że nie mogąc już cofnąć dokonanej nominacyi, senat przynajmniej niefortunnego docenta ukryje starannie w ciasnym przybytku wydziału teologicznego i nie pozwoli mu publicznymi pseudonaukowymi wystąpami prowokować nadal większości młodzieży i większości opinii publicznej. Spodziewać się należało, że poczyni dalej energiczne kroki, ażeby uniwersytet krakowski otrzymał tak potrzebną mu katedrę świeckiej, to znaczy wolnej socyologii, o którą się młodzież od dawna upomina. Taka ekspiacya należała się jej chyba, należała się całej wszechnicy.

Tymczasem cóż się dzieje? Zamiast zdobyć się na taką ekspiacyę, senat wypowiada otwartą wojnę młodzieży, za to tylko, że oceniwszy z góry należycie nowego docenta, w nieco krewki sposób przeciwko jego działalności demonstrowała. Zamiast po smutnem własnem doświadczeniu okazać pobłażliwość i wyrozumiałość dla tej krewkości młodzieńczej, senat oddaje ją w ręce prokuratoryi a nadto ze swej strony grozi ciężką karą relegacyi dwustu przeszło słuchaczom.

Gdy wieść o tym zamiarze senatu rozeszła się po mieście, wywoła ogólne przerażenie. Nie chciano wierzyć, iżby władza uniwersytecka, władza, która powinna przychylnością i miłością otaczać łaknącą nauki młodzież, w tej właśnie sprawie — do takiego drakońskiego posunąć się mogli środka i kroku.

I my wieściom o tym zamiarze senatu jeszcze nie dajemy wiary; przeciwnie, przypuszczamy, że senat zanim wypowie ostatnie słowo w tej sprawie, dobrze się zastanowi nad wszelkimi skutkami takiego kroku.

Pomijamy już to, że tego rodzaju kara byłaby ciężką, barbarzyńską wprost krzywdą, wyrządzoną młodzieży za to jedynie, że zbyt może krewko broniła swoich praw a nadto godności nauki; że kara taka odebrałaby wszechnicy krakowskiej charakter matki — a dałaby jej charakter wroga młodzieży. I poza tem następstwa ewentualnej masowej relegacyi okazaćby się mogły i okazały napewno wprost fatalnemi dla opinii uniwersytetu krakowskiego. Krok taki zmobilizowałby przeciwko niemu cały świat naukowy, całą europejską inteligencyę. Od razu też prysłaby piękna sława Wszechnicy Jagiellońskiej, zdobyta z trudem w ciągu pięciu wieków — a i polska nauka popadłaby w podejrzenie, że poszła w służbę polityki partyjnej i to polityki... z pod ciemnej gwiazdy! A na to chyba Wszechnicy naszej i nauki narażać nie wolno — dla jednego tylko ks. Zimmermana! A więc: Ostrożnie z ogniem!

Nadesłane.

(Za tę rubrykę Redakcya nie odpowiada).

Dr. Łazarski.

(Telefonem).

Wiedeń, 20 stycznia.

(*waż.*) Homo novus. Z zacisza na wierzch wydobyty stanął Dr. Łazarski na czele Klubu parlamentarnego, świetnego tradycyami swych regimentarzy z doby szlacheckiej.

Już po wyborze dokonanym szczęśliwie i z przykładną jednomyślnością zaczęto się zastanawiać, czy człowiek dziki, stojący dotąd poza obrębem waśni partyjnych i przez to i poza obrębem intrygi, kłamstwa, wybiegów i podejść wzajemnych, czy człowiek bez przeszłości takiej odpowie zadaniu, czy swym wadowickim poglądem na świat, dojrzy widnokręgi, kraj, państwo i naród obejmujące.

Te właśnie deliberacye post festum czynione, są najlepszą ilustracyą bezhołowia, jakie panowało przed dokonaniem kroku stanowczego. Zawiść i zawziętość stronnicza w zapamiętaniu najwyższem zdecydowały się na czyn wzajemnie paraliżujący intencye partyjne, czyn przez opinię kraju nader życzliwie przyjęty.

Dr. Łazarski stał się dziedzicem Grocholskich, Jaworskich, Dzieduszyckich, Abrahamowiczów.

Ze sfery rozpolitykowanej stuleciami wyszli owi pierwsi regimentarze Koła i wiedli łódź polską po falach nieprzyjaznych. Dziś kiedy jeden okres drogi zamknięty i można zdobycze podróży ocenić, niejednokrotnie słychać głosy, iż tylko sprawności sterników przypisać należy „sukcesy“ odniesione. Opinia ta się ustala, a pierwsza demokratyczna prezesura Głąbińskiego z rozprężeniem wewnętrznem i klęskami w wewnętrznej polityce Koła, zdaje się potwierdzać zapatrywanie, iż demokracya galicyjska nie wytworzyła jeszcze własnego silnego typu politycznego.

Jaką była podstawa zasadnicza dawnej polityki szlacheckiej?

Po zamknięciu wzlotów młodości, po zatracie uniesień romantycznych, gdy chłód pozytywizmu filozoficznego i życiowego zmroził tętno wierzeń mesyanicznych, przedstawiciele klasy historycznie narodowi przewodzącej, przejęli się nową koncepcyą polityczną, w której upatrzyli ocalenie. Teza bezwzględnej lojalności stała się podstawą konstrukcyi stosunku kraju do państwa i wskaźnikiem kwestyi poszczególnych bieżących.

Koło polskie jest niezachwianym filarem tronu i rządu. Niechaj huragany spadają, my wiernie wytrwamy. Taką obrawszy dewizę postulaty społeczeństwa i kraju należało przemycać drogą targu i konszachtów potajemnych. O „akcyach“ jakowychś rzadko się też dawniej słyszało. Chyba propinacyi gro-

ziły nieprzyjemności, chyba szło o rozszerzenie praw wyborczych.

Zresztą interes odbywał się dyskretnie i kończył się profitem. Wprawa raz nabyta spadkiem przechodziła z pokolenia na pokolenie i stała się niejako nauką tajemniczą, a niedostępną dla nieprzepuszczonych do sanktuarium przedpokojów ministeryalnych.

Nić zerwała się z chwilą powołania na czoło Koła p. Głąbińskiego. Poczciwy profesor ekonomii politycznej ciśnięty grymasem losu na stanowisko przewodnie, trzepotał się na niem, jak ryba na piasku. Reprodukował gesty podchwycone od rozbitków konserwy pozostałej w Kole, ustawiał się w pozycyi, chrząkał i gestykulował, a przecież wszystko szło wspak, bo środowisko dawnych pojęć politycznych i warunki ich istnienia z gruntu zostały zmienione. Ani Grocholski, ani Jaworski nie dbali o opinię publiczną. Bracia szlachta z sąsiedztwa niezawodnie mandatem obdarzą na wszelki wypadek. Dziś trza natomiast także karmu dla wyborców. Trza działać tak, aby wilk był syty i koza cała.

W tym dylemacie pogrążył się i ugrząz poczciwy Głąbiński, oparłszy się dopiero na tece ministeryalnej w bagnisku zawartej.

Dr. Łazarski okrzyknięty następcą.

A bezpośrednio potem żal i wyrzuty sumienia.

Gdzież on, prezes rady powiatowej w takowych terminach go czekających da sobie radę?

Lament po niewczasie, a raczej przedwcześnie podniesiony.

Nie da się zaprzeczyć, iż rzemiosłu politycznemu z korzyścią służą pewne fortele, pewne chwyty i wykręty; znawstwo w tej mierze jest pożądane i pożyteczne.

Lecz nie jest bezwarunkowo niezbędne.

Stara szkoła polityczna, targ potajemny o profit postronny, dziś ostać się nie mogą wobec nowego podłoża działalności publicznej. Dziś wskaźnik jeden góruje nad wszystkimi innymi względami: interes większości angażowanej w każdorazowym problemie politycznym. Ten nakaz dyktuje równocześnie postępowanie taktyczne.

Jest ono i musi być odmienne od dawnych metod komitywy zakulisowej. Nie może być naśladownictwem sprawników szlacheckich. Mozoły Głąbińskiego właśnie były tak bezowocne i zabawne, gdyż posługiwały się metodologią przestarzałą.

Dr. Łazarski, adwokat wadowicki może stworzyć nową do czasu zmienionego zastosowaną metodę, jeżeli pozostanie sobą. Jeżeli zaniecha obserwowania środeczków stęchłych.

Niechaj pozostanie sobą i prowadzi politykę celów jasnych i środków jawnych.

Rada wojenna ludowców.

Przez całą sobotę obradowała w Krakowie pełna Rada naczelna P. S. L. wraz z posłami tego stronnictwa do Sejmu i parlamentu. O rezultacie tych obrad wydano obszerny komunikat, który już w całości lub częściowo pojawił się w wydaniach porannych naszych pism codziennych. Zawiera on programowe oświadczenie prezesa stronnictwa, dwie uchwały i szereg konkretnych postulatów na najbliższą przyszłość — przyczem wspomina o bardzo obszernej dyskusyi na tym Zjeździe.

Jako enuncyacya partyjno-urzędowa komunikat ten obwieszcza światu naturalnie tylko to, co najwyższa władza partyjna uznała za nadające się do publikacyi. Biorąc to na uwagę, stwierdzić nam wypada, że komunikat ten przedstawia się nieco ubogo. Nie ma w nim ani skromnego nawet tonu tryumfu, nie ma najmniejszej wzmianki o jakimkolwiek sukcesie partyjnym. Przeciwnie oświadczenie prezesa przyznaje otwarcie, że wszelkie kompromisowe usiłowania były prawie daremne, że nic nie osiągnęły. A jeżeli p. Stapiński zaznacza, że i te ujemne wyniki polityki partyjnej mają dla niej wartość pewnego kapitału politycznego, — to naszem zdaniem jest to kapitał co najmniej bardzo pasywny, nietylko martwy, ale nawet wprost obciążający hipotekę polityczną stronnictwa ludowego.

To też, jak się dowiadujemy — nie z komunikatu — większość Rady naczelnej P. S. L. kapitałem tym bynajmniej się nie zachwycała. Przeciwnie, zygzakowatą politykę prezydyum stronnictwa, która balansując między konserwatystami a wszechpolakami, ten fatalny kapitał nagromadziła oraz sprawiła, że P. S. L. wyszło z ostatniego przesilenia z próżnemi rękami, jak najostrzej potępiono. Zwłaszcza prezes p. Stapiński, nasłuchać się musiał gorzkich zarzutów i wymówek. Posłowie dr Stefczyk, Witos, Jampolski i inni rzucali podobno gromy ogniste na jego głowę — głównie za jego niefortunne umizgi do wszechpolaków, a jedyny poseł Bujko jeszcze go bronił.

Uchwalone na Zjeździe ścisłe dyrektywy mają też przedewszystkiem na celu zapobiedz dalszym tego rodzaju „ekstraturom“ prezydyum partyi. Jest wśród nich jedna, którą powitać należy z całą sympatyą — jako wyraz rzeczywistej mądrości politycznej. Jest nią rezolucya dr Bardla, zalecająca zbliżenie się do demokracyi miejskiej, uznająca nawet tego rodzaju zbliżenie się za życiową i praktyczną potrzebę stronnictwa ludowego. Jaka szkoda, że do tego przekonania P. S. L. — rychlej nie doszło! Zapewne dziś bilans jego polityki nie przedstawiałby się tak smutnie, a i bilans całego Koła polskiego więcej zawierałby realnych zysków.

W sprawie reformy wyborczej sejmowej zapowiedziano znów ostrą taktykę w Sejmie, ba, postanowiono nawet nie cofnąć się przed zaciętą obstrukcyą. Oby tylko uchwały tej dotrzymano! Taksamo ma się rzecz z postanowieniami w sprawie kanałów.

Nastrój w Stronnictwie ludowem — jak nas informowano — jest bardzo dla kierowników polityki nieprzychylny. Jeżeli nie pada głos w kierunku usunięcia tych kierowników, to przypisać to należy jedynie względom na dobro samego stronnictwa, które w razie przesileń wewnętrznych mogłoby stracić na powadze i znaczeniu zewnętrznem. Ale bądź co bądź nurtują tam silne prądy, które kierują się przeciwko przewodnikom. Być może, iż najbliższa przyszłość sprowadzi w Stronnictwie ludowem poważne zmiany na kierowniczych stanowiskach.

Kronika.

Z niedzieli. Z daleka, z daleka, bo z mroźnych dni stycznia, śle nam wiosna rozkoszne pozdrowienie. W tej delikatnej, miejscami zawadyackiej wichurze, od której wczoraj brzmi całe miasto, tętniał jak gdyby sygnał wiosenny; dyszał rozkoszny szept, którym daleka wiosna porozumiewała się z naszemi wspomnieniami, budząc niejasne tęsknoty. Pod tchnieniem wiatru wyschły bruki, wyświeżyło się całe miasto, a w grających wichrach, od których brzmiały bezlistne planty, drżała woń wiosenna.

Któż nie rozumie tych haseł, któż nie jest czujny na pełne ła kotu podmuchy wiosenne? Poznamy je wszędzie, nawet w mroźnym styczniu lub ponurym listopadzie, bo często i tutaj potrafią dotrzeć. Dość było wczoraj wyjść w południe na Rynek, na ul. Dunajewskiego i zobaczyć spacerujące tłumy, aby zobaczyć jak wszyscy cieszyli się miłą zapowiedzią wiosny, jak pilnie i rozradowanem okiem patrzono na gałązki krzewów i drzew plantacyjnych, które dziwnie... dziwnie bo nie zimowo wyglądały. I idzie wiosna w... styczniu, wnet znikną dojmujące chłody, wnet słoneczko nietylko jaśniej, lecz i cieplej zaświeci, wnet...

— — — — — — — — — — — —

Lekki śnieg. Zimny podmuch i oto... wróciła zima na nowo, ta zima, która tego roku taka kapryśna, taka kapryśna taka nieobliczalna.

Zima kobieta...

Szopka krakowska. Powodzenie, jakiem się cieszy „Szopka krakowska“, nie ustaje, ale owszem ustawicznie się wzmaga. W dniu przedstawienia tłok w „Jamie Michalikowej“ nie do opisania. Tak było i podczas sobotniego przedstawienia; mnóstwo publiczności musiało odejść z powodu braku miejsca. W sobotę wśród licznych słuchaczów ze sfer literackich i artystycznych naszego miasta znajdował się hr. Stanisław Tarnowski wraz z rodziną, dalej hr. Mycielski i wielu innych członków rodzin arystokratycznych.

Stosunki w tut. Radzie szkolnej okręgowej miejskiej. Pomimo zwiększenia o 1 posadę inspektora szkolnego w tutejszej Radzie szkolnej okręgowej miejskiej, panują tam jeszcze wielkie braki. Nauczycielstwo krakowskie nie jest tak świetnie płacone, by im nie zależało na szybkim załatwianiu ich spraw personalnych, zwłaszcza gdy w grę wchodzi ich byt materyalny.

Drobniejsze sprawy, jak np. sporządzanie wykazów i sprawozdań do Rady szkol. kraj. we Lwowie, o wyasygnowanie poborów i t. p. bywają przydzielane urzędnikowi magistratu, przydzielonemu do pomocy P. P. inspektorów.

Pomimo niejednokrotnych ponagleń ze strony P. P. Inspektorów „Pan Sekretarz“ wcale nie spieszy się by najpilniejsze sprawy dla nauczycieli jak asygnowanie płac lub dodatków zaraz załatwić.

Jaskrawym tego dowodem jest fakt, że zamiast zrobić i odesłać we wrześniu 1909 r. wykaz nauczycieli mających być posuniętymi do wyższego stopnia płac, wysłał dopiero z końcem maja 1910 r. a Rada szkolna kraj. we Lwowie załatwiła go dopiero z końcem grudnia 1910 z terminem wypłaty od 1 stycznia 1910 a więc o cały rok za późno.

Również i drugi fakt: oto od września ubiegłego roku czekają zastępcy i zastępczynie nauczyciel, by już raz ten „pan sekretarz“ zrobił i wysłał wykaz do Rady szkol. do Lwowa, celem wyasygnowania im wynagrodzenia za wakacye, lecz do dziś pomimo chodzenia do P. P. Inspektorów, prośb i urgensów, leży u „p. sekretarza“ nie załatwione, a trzeba dodać że jeszcze we Lwowie musi to się parę miesięcy odleżeć, tak że za rok asygnata może przyjdzie.

Nie widząc innego sposobu zaradzenia złemu, tą drogą nauczycielstwo krakowskie zwraca się do p. Prezydenta miasta i Członków Rady szkol. okręgowej miejskiej, by zechcieli wglądnąć w te sprawy i albo usunąć obecnego „p. sekretarza“, który wcale nie okazuje dobrej woli dla nauczycielstwa krakowskiego albo przydzieli starszego urzędnika, by ten energicznie zajął się tem wszystkiem.

Teatr Związku Artystów polskich w Galicyi dnia 23-go b. m. wyjeżdża z Krakowa — gdzie przez dłuższy czas opracowywano repertuar — na prowincyę. Zaczyna od Tarnowa.

Tarnów 23 b. m. danem będzie z gościnnym występem p. Jana Nowackiego, artysty dramatu i reżysera teatru miejskiego we Lwowie, głośna sensacyjna nowość nieschodząca z repertuaru scen stołecznych „Złoty wiek rycerstwa“ żart sceniczny w 3-ech aktach Karola Marlove'a. Tarnów 24-go z p. Józefem Chmielińskim art. dramatu i reżyserem teatru miejskiego we Lwowie w roli tytułowej: „Wielki Fryderyk“, sztuka w 6-ciu odsłonach Adolfa Nowaczyńskiego. Jarosław 25-go „Złoty wiek rycerstwa“ z występem p. Nowackiego, Rzeszów 26-go „Wielki Fryderyk“ z występem p. Chmielińskiego, Jarosław 27-go „Wielki Fryderyk“ także z występem p. Chmielińskiego.

W opracowaniu „Peer Gynt“ H. Ibsena z panem Karolem Adwentowiczem w roli tytułowej.

Ze świata muzycznego. Dnia 28 i 30 b. m. filharmonia lipska wystawia oratoryum „Quo vadis“ Feliksa Nowowiejskiego. Ze względu na nadzwyczajne zainteresowanie, jakie budziło w świecie muzycznem dzieło naszego rodaka — filharmonia postanowiła wystawiać je nie w Gewanhauzie, lecz nowej, największej sali, jaką Lipsk posiada w t. zw. Alberthalle, mogącej pomieścić około 300 osób.

Drukarze krakowscy urządzają Wielką Zabawę Karnawałową, na pomnożenie fund. bud. własnego domu, w sobotę dnia 28 stycznia 1911 r. w dolnej i górnej sali „Sokoła“ krakowskiego.

Wstęp tylko za okazaniem zaproszenia, po które należy zgłaszać się do sekretarza komitetu w lokalu Stow. „Ognisko“, Rynek główny 12, III p.

Podjęcie żeglugi na Elbie. Z Tetschen donoszą: Ponieważ kry lodowe zupełnie już spłynęły, dlatego podjęto od dziś na nowo żeglugę na rzece Elbie.

Z teatru miejskiego.

„Wolny Związek“ Fuldy.

Scenę krakowską przeładowano ostatnimi czasy zbyt wielką ilością utworów obcych, wyrządzając przez to wielką krzywdę literaturze dramatycznej. Cierpi z tego powodu nietylko dorobek kulturalny narodu, ale i publiczność, która, karmiona obcym „towarem“, lekceważy i zapoznaje produkty polskiego ducha.

Musimy też — niestety — skonstatować, że o ile sezon zeszłoroczny był pod względem wystawiania polskich utworów nader chlubny, o tyle obecny przedstawia wiele, bardzo wiele do życzenia.

Dyrekcya jest widocznie zwolenniczką obcego, a przeciwniczką polskiego dramatu. Ale przyjmując i to upodobanie dyrekcyi do wiadomości, bo „de gustibus non est disputandum“ należy zwrócić przecież uwagę na sam wybór sztuki. A właśnie w tym kierunku los pada jakoś nieszczęśliwie.

Dlaczego ostatnim razem wybór padł na Fuldę — a jeżeli już padł, dlaczego na ten właśnie utwór? Czy „Wolny Związek“ ma takie walory literackie czy tendencyjne, że koniecznie musieliśmy go na scenie zobaczyć? Tego rodzaju „losowanie“ utworów na chybił trafił, świadczyłoby jedynie o braku obmyślanego naprzód programu co do wypełnienia sezonu; z chwilą zaś, gdy na pewnej scenie program składany jest dorywczo, tam nie może być mowy o służeniu prawdziwej i wielkiej sztuce.

Po takich — bądź co bądź — ostrych uwagach należy stwierdzić, że Fulda należy do wybitnych dramaturgów niemieckich, cieszących się nawet dość dużem powodzeniem. Ale powodzenie to uzyskały przedewszystkiem te utwory, w których n. p. smaga dzielnie i niemiłosiernie biczem satyry biurokracyę pruską. I dyrekcya — „zakochana“ widocznie we Fuldzie — z tych rzeczy powinna była wybrać inny utwór, a nie „Wolny Związek“.

A teraz o nim słów parę.

Na sukces każdego scenicznego dzieła składa się głównie jego wartość literacka, a potem dopiero gra aktorska; na wartość zaś literacką: odpowiedni wybór tematu i należyte jego obrobienie. Czy temat obrany przez Fuldę sam przez się jest interesujący? Być może, iż gdybyśmy lat temu kilka, w chwili budzenia się ruchu emancypacyjnego kobiet, widzieli te wszystkie śmieszności i śmiesznostki, przez jakie każdy nowy ruch przejść musi, to — być może — skarykaturowanie go byłoby nas bawiło. Ale dziś? Po tylu znakomitych i z zacięciem prawdziwie satyrycznem pisanych komedyach francuskich, temat nas bawić nie może i w rzeczywistości nie bawi, bo już się przestarzał, zwietrzał.

Ale do powodzenia sztuki mogłoby się przyczynić jeszcze należyte opracowanie. I tu znów można stwierdzić z całą stanowczością, że pod tym względem ten właśnie utwór Fuldzie się nie udał. Opracowanie go wykazuje jedynie ciężką i nudną niemiecką robotę; brak mu lekkości pióra i tęgo rozmachu, z jakim piszą takie rzeczy francuzcy komedyopisarze.

Tak więc zawiodły walory literackie „Wolnego Związku“, pozostała jeszcze do powodzenia gra aktorska. I ta nie zawiodła, a zadecydowała o jej przychylnem przyjęciu na premierowem przedstawieniu.

Rolę główną romantycznej emancypantki powierzono p. Turowiczównie. Jest to artystka młoda, od czasu do czasu tylko występująca. Powierzanie ról takim siłom, świadczy o dobrych chęciach kierowników, którzy w tym wypadku kierują się raczej pedagogicznymi względami, a nie artystycznymi. O ile pierwsze należy przyjąć z pewnem zadowoleniem, o tyle drugie z pewną rezerwą. P. Turowiczówna posiada niewątpliwie pewne zdolności sceniczne, ale te ze względu na krótki pobyt na scenie nie mogły się należycie wyrobić; stąd też i w sobotę rola, aczkolwiek wykazywała dużą pracę i długie studya, przecież nie wypadła jeszcze tak, aby nagradzać za nią „hucznymi oklaskami“ lub... kwiatami.

Z pośród pań jedyna, co szczerze publiczność bawiła, była p. Słubicka, emancypantka „w każdym calu“. To trzymanie się męskie, ten gruby z głębi gardła wydobywany głos i ten ton wygłaszanych polemik, były oddane znakomicie z podkreślanym w miarę czynnikiem satyrycznym.

Z mężczyzn p. Sosnowski utrafił odrazu we właściwy ton roli, utrzymując ją w należytych ramach nie zaczepiających o melodramat. Zupełnie dobrze wypadły role p. Barwińskiej i Borzewskiej, Jednowskiego, Kosińsiego i Leszczyńskiego. Reszta zespołu, występująca w epizodycznych rólkach, wywiązała się z powierzonego zadania ku powszechnemu zadowoleniu. Reżyserya nie pozostawiała nic do życzenia. *Mundek*

Z teatru ludowego. Dyrekcya teatru ludowego znalazła wreszcie sztukę, która zasila wydatnie kasę teatralną, po niepowodzeniach, towarzyszących stale poważniejszym i bardziej wartościowym utworom scenicznym. Mam na myśli ostatnią „nowość“ teatru ludowego „Krowoderskich zuchów“ pióra p. Stefana Turskiego, reżysera tegoż teatru. Oceniając ten utwór należy z góry się zastrzedz, że tu idzie o wodewil bezpretensyonalny, że zatem zupełnie inna miara artystyczna stosowaną tu być musi. Wybitną zaletą „Krowoderskich zuchów“ — to ich sceniczność. Istotnie, autor bardzo zręcznie przeprowadza akcyę i ryzykuje wszelkie możliwe efekty sceniczne. Udaje mu się to tembardziej, iż sam jest długoletnim, utalentowanym artystą dramatycznym i jako taki zna on doskonale scenę i jej warunki. Drugą wybitną zaletą sztuki p. Turskiego, to typy, które nam autor w „Krowoderskich zuchach“ daje. Co prawda państwo Gzymsikowie mogą nam śmiało reprezentować zarówno obywateli z Krowodrzy, jak i z Ludwinowa i z Grzegórzek. Mimo to, są one prawdziwe i dla nas Krakowian wcale sympatyczne... Ujemną stroną atoli sztuki, są często i gęsto się dowtarzające trywialne „powiedzenia“, jako to: „pani wsiada na mnie z pyskiem“, lub „niech cię cholera ciśnie“. To jednak już nie jest winą autora. lecz środowiska, jakie na scenę wprowadza.

Powodzenie sztuki niezwykłe dla teatru ludowego świadczy, że tylko tego rodzaju bezpretensyonalne utwory liczyć mogą na kasowe „wzięcie“ w budynku przy ul. Rajskiej. Z drugiej strony natomiast winno ono dodać bodźca p. Turskiemu do dalszej pracy i mamy tę nadzieję, że wkrótce zapoznamy się z nowym jego wodewilem, który podobnem cieszyć się będzie powodzeniem, a czego mu szczerze życzymy.

Wieczór uroczysty

ku uczczeniu rocznicy powstania styczniowego odbył się wczoraj w „Sokole“ krakowskim urządzony staraniem tegoż Towarzystwa, pod artystycznem kierownictwem prof. St. Bursy, zaszczytnie znanego śpiewaka i dyrygenta chórów sokolich. Słowo wstępne wygłosił prof. uniw. dr. W. Czermak, kreśląc w sposób interesujący historyę tej bohaterskiej chwili dziejowej z doby najszlachetniejszych porywów naszej przeszłości. — Muzyczne produkcye wypełniły dalsze części wieczoru, którego atrakcyą był współudział doskonałego wiolonczelisty prof. Bolesława Kopystyńskiego, a rzetelną ozdobą występ młodocianej uroczej śpiewaczki. p. Heleny Miętkówny, jednej z licznych uczennic prof. St. Bursy. Prof. Kopystyński, przyjmowany owacyjnie przez bardzo licznie zebraną publiczność, odegrał utwory Gottermanna, Rozettiego, Wieniawskiego z tem artystycznem ujęciem, które cechuje jego produkcye i zjednują mu — jak i tym razem — huragany oklasków. Solistka wieczoru p. H. Miętkówna, poprawnem odśpiewaniem pieśni Niewiadomskiego oraz prześlicznej aryi „Znasz ten kraj“ (z op. Thomasa „Mignon“), zyskała życzliwy applauz słuchaczy, za piękny, świeży głos, którego kultura techniczna jakkolwiek początkowa, zdradza poważne studya i rokuje piękne nadzieję. — Obu solistom akompaniowała wytwornie i dyskretnie profesorowa Bursowa. Pojawienie się Sokolic w strojach uroczystych w chórze mieszanym, wywołało burzę oklasków. Młody zespół śpiewał składnie, gładko, z wielkiem poczuciem dynamiki, intonując czysto i zgodnie i przynosząc pracy dyrygenta prawdziwy zaszczyt i zachętę do dalszej pracy. Dwie doskonale zaśpiewane pieśni przez chór męski Sokoła uzupełniły miły wieczór o podniosłym nastroju. Deklamator skrewił. *Kar.*

Telegramy.

Burza w lwowskiej Izbie adwokackiej.

Lwów (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Ostatnie wybory, przeprowadzone w lwowskiej Izbie adwokackiej, wywołały w tutejszej prasie rozmaite komentarze. Wiadomość podana przez „Dziennik polski“ jakoby nowowybrany Wydział nosił się z zamiarem zrezygnowania, okazała się nieprawdziwą. Również nieprawdziwą jest pogłoska jakoby wiceprezes Izby miał zamiar złożyć tę godność. Owszem tak dr. Dobiecki, jak i dr. Kamiński oświadczyli, że godności, na które ich powołano, przyjmują i że dołożą starań, aby powierzone im obowiązki należycie i ku ogólnemu zadowoleniu spełnić.

Nieprawdziwą jest również wieść podawana przez niektóre dzienniki, iż wyborów dokonano na podstawie sojuszu syońsko-hajdamackiego. Do wydziału bowiem wszedł jeden narodowy demokrata; nie wybrano ani jednego syonisty, ani Rusina.

Przed ankietą w sprawie nędzy żydowskiej.

Lwów. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Z okazyi rozpoczynających się jutro obrad ankiety, zainicyowanej przez Wydział Krajowy w sprawie nędzy żydowskiej, odbyło się staraniem żydowskiego klubu mieszczańskiego zebranie obywateli w sali Towarzystwa politechnicznego, na które przybyli: poseł dr. Löwenstein, wiceprezydent miasta dr. Aschkenazy, radni miejscy: Feldstein, Jonasz Blumenfeld i reprezentanci sfer żydowsko-mieszczańskich. Referat wygłosił adwokat dr. Stanilsaw Unger, poczem przemawiali: dr. Aschkenazy, dr. Loewenstein, Feldstein, Blumenfeld i inni.

Po dłuższej dyskusyi uchwalono rezolucyę, w której zebrani dają wyraz nadziei, że tak Wydział Krajowy jak i c. k. Rząd nie zadowolą się teoretyczną dyskusyą, przeprowadzoną na ankiecie w sprawie nędzy żydowskiej, ale jak najrychlej przystąpią do zrealizowania postulatów, jakie ujawni ankieta.

Lwów. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Ze względu na rozpoczynające się obrady ankiety w sprawie nędzy żydowskiej, zebrali się wczoraj popołudniu członkowie Zboru izraelickiego na wspólne obrady, celem zastanowienia się nad pytaniami, ułożonemi w kwestyonaryuszu przez Wydział krajowy.

Lwów. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Zarząd okręgowy T. S. L. urządził tu wczoraj ze względu na to, iż dziś zbiera się ankieta w Wydziale Krajowym w sprawie nędzy żydowskiej, Krajowy Zjazd Czytelni T. S. L. im. Goldmana.

Chaos w Kole polskiem.

Wiedeń. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Dowiaduję się, że polityczną dyskusyę przerwano nietyle z powodu „wyjazdu wielu posłów“, jak to oficyalnie oświadczono, lecz głównie z powodu wielkich rozdźwięków, jakie powstały w sprawie kanałowej. Nigdy jeszcze Koło polskie nie znajdowało się w takim rozstroju, jak obecnie w tej sprawie. Narodowi demokraci pragnąc salwować stanowisko ministra Głąbińskiego, żądają bezwzględnego przyjęcia deklaracyi rządu i zaniechania wszelkich dalszych zabiegów w kierunku wymuszenia kanałów. Podobne stanowisko zajmuje większość konserwatystów, którym uśmiecha się nadzieja, że przez teki odwrót w sprawie kanałów, demokratyczne Koło do reszty zdyskredytuje się wobec opinii publicznej w kraju. Druga grupa demokratów a także ludowcy podzieleni są w tej sprawie na kilka obozów. Odroczono więc obrady, ażeby w międzyczasie poszczególne grupy partyjne doszły do ładu we własnym obozie. Nowy prezes odrazu znalazł się w bardzo trudnej sytuacyi, bo dziś jeszcze absolutnie nie wie, jaką będzie mógł dać deklaracyę na środowem posiedzeniu Izby. On sam na razie zachowuje pewną rezerwę i zdania swego Kołu nie narzuca, co także niekorzystnie wpływa na tok obrad.

Ustąpienie dra Golda z klubu wszechpolskiego.

Wiedeń. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Ze źródła wiarygodnego zapewniają nas, że dr Gold wystąpił z frakcyi wszechpolskiej.

Dr Gold oddawna już zapatrywał się bardzo krytycznie na praktyki uprawiane w łonie partyi wszechpolskiej. Wspólnie z pp. Germanem i Battaglią występował przeciw sobkostwu i zachłanności partyjnej, jakoteż przeciw metodzie walki wprowadzonej przez wszechpolaków w obręb Koła. Obecnie zrażony intrygami, jakie się objawiły w klubie frakcyjnym z okazyi przesilenia gabinetowego i prezesowskiego z klubu wystąpił. To jedno uczynił ustępstwo, iż na usilne prośby swych towarzyszy klubowych, zgodził się na razie nie oznajmiać jeszcze publicznie swego wystąpienia, aby nie szkodzić frakcyi wszechpolskiej w opinii publicznej. Po ustąpieniu dr Golda frakcya wszechpolska liczy zaledwie dwóch członków parlamentarnie użytecznych. Są nimi pp. Buzek i Tomaszewski.

Obsada posad.

Wiedeń (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Pierwsze zabiegi p. Głąbińskiego nie przyniosły dotychczas sukcesu. W kołach poselskich opowiadają mianowicie o staraniach p. Głąbińskiego skierowanych ku usunięciu pewnego wysokiego biurokraty, nie przychylnego, jak zapewniają, partyi wszechpolskiej. Bar. Bienerth wręcz bez ceremonii żądanie to odrzucił.

Do tego negatywnego wyniku przyłącza się druga wieść przykra. Poseł Buzek gorąco protegowany na stanowisko prezesa c. k. Centralnej kom. statyst. posady tej nie otrzyma.

Również wątpią w kołach poselskich czy uda się ministrowi Głąbińskiemu, powołać do ministerstwa kolejowego posła Wincentego Jabłońskiego, radcę sądowego z Galicyi środkowej. Powołanie to miałoby nastąpić w charakterze męża zaufania, a w randze hofrata. Minister Głąbiński acz w resorcie swym ma wolną rękę, boi się, aby powołanie p. Jabłońskiego nie rozgniewało niemieckich urzędników. Decyzya nastąpi w dniach najbliższych.

Sprawa przeniesienia departamentu budowy kanałów do ministerstwa robót publicznych, wikła się i staje nieprawdopodobną. Poseł Sikorski, który kompetował o posadę naczelnika tego departamentu i którego tenor deklaracyi premiera w sprawie kanałów początkowo zadowalał, zmienił w ostatnich 24 godzinach gruntownie swoje zdanie w tej sprawie.

Z awiatyki.

Paryż. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Amerykański lotnik Daiman przedsięwziął wczoraj wzlot z trzema pasażerami z Chalon do Reims. Wzniósł on się na biplanie Fahrmana o godzinie trzy kwadranse na dwunastą a wylądował o godzinie 12 minut 15. Powrót odbył się również szczęśliwie.

Praga. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej.* Podczas prób, jakie robił czeski lotnik Ilunek na aparacie jednopłaszczyznowym własnej konstrukcyi, wydarzył się nieszczęśliwy wypadek; mianowicie kiedy Ilunek znajdował się na wysokości 40 metrów, zerwał mu wiatr jedno skrzydło aeroplanu, skutkiem czego Ilunek wraz z aparatem spadł na ziemię, odnosząc silne potłuczenia. Aparat uległ zupełnemu zniszczeniu.

Wypadek automobilowy.

Berlin. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej.*) Wczoraj przed południem wydarzył się tu tragiczny wypadek automobilowy. Automobil, w którym znajdowało się sześć osób, a to tutejszy handlarz paszy, pewien urzędnik sądowy i pewien kupiec tudzież ich żony, skierował szofer przed pędzący wóz kolei elektrycznej. Jednak automobil nie ominął wozu, lecz uderzył o niego bokiem, tak że wszystkie siedzące w nim osoby zostały gwałtownie wyrzucone na ziemię. Trzy z nich tak ciężko zostały pokaleczone, że zwątpiono wogóle, czy uda się je utrzymać przy życiu. Reszta z nich, tudzież szofer, została lekko pokaleczoną. Automobil został potrzaskany w kawałki.

Eksplozya kotła.

Warszawa. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). W fabryce tkackiej firmy Bernard Günsberg w Łodzi nastąpiła eksplozya kotła, przyczem jeden robotnik został zabity, a trzej inni ciężko ranni. Również i właściciel firmy Günsberg został silnie pokaleczony.

Zderzenie pociągów.

Warszawa. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Na linii kolejowej w pobliżu miasta Łodzi zderzył się pociąg robotniczy z pociągiem osobowym, przyczem dwóch robotników i maszynista pociągu robotniczego zostali niebezpiecznie poranieni. Maszyny obu pociągów zostały silnie uszkodzone.

Aresztowanie „Kuby rozpruwacza“.

Berlin. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). W miesiącu lutym 1909 r. jakiś nieznany sprawca pokaleczył na ulicach Berlina kilka kobiet nożem w okolice brzucha. Jedna z nich wskutek zadanej jej rany umarła. Policya aresztowała wczoraj 28-letniego pomocnika malarskiego nazwiskiem Bennewitz. Pada na niego silne podejrzenie o wykonanie tych zamachów. Policya dłuższy czas go już śledziła, nie mogła go jednak przytrzymać. Bennewitza aresztowano w czasie jakiejś bitki.

Zgromadzenia socyalistyczne.

Berlin. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej* W całym Berlinie urządziła wczoraj partya socyalno-demokratyczna około stu zgromadzeń z protestem przeciw pruskiemu prawu wyborczemu a za powszechnem i wolnem prawem wyborczem. Na wszystkie zgromadzenia przybyły bardzo liczne rzesze socyalistów; nigdzie nie przyszło do zakłócenia spokoju publicznego. We wschodnich dzielnicach Berlina utrzymywała policya liczne pogotowia policyjne, które jednak nie miały powodu do wkroczenia. Podobne zgromadzenia odbyły się we wszystkich większych miastach niemieckich, jak w Kolonii, Wrocławiu, Magdeburgu i innych.

Strejk w teatrach wiedeńskich.

Wiedeń. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*) Z powodu wybuchu strejku pracowników teatralnych odwołano wczoraj obydwa przedstawienia w socyalno-demokratycznym wolnym teatrze. To odwołanie przedstawień jest wyrazem sympatyi dla strejkujących. Dyrekcye wiedeńskich teatrów noszą się z myślą przerwania przedstawień aż do chwili zupełnego porozumienia ze strejkującymi.

Walne zebranie Związku młynarskiego.

Praga. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Na wczorajszem walnem zebraniu czeskiego Związku młynarskiego przyjęto jednogłośnie protest przeciwko żądaniu Węgier reaktywowania obrotu mlewa.

Audyencya Khuen Hedervarego.

Wiedeń. Węgierski prezydent ministrów hr. Khuen Hedervary był wczoraj u cesarza na osobnej audyencyi i po południu odjechał do Budapesztu.

Aprobata nuncyusza wiedeńskiego.

Rzym. Jak się dowiaduje *Oservatore Romano* zamianowanie mons. Aleksandro Bavona, arcybiskupa Farsalus, a dotychczas nuncyusza w Brazylii, apostolskim nuncyuszem na dworze wiedeńskim, uzyskało aprobatę.

Starcie chińsko-angielskie.

Londyn. Biuro Reutera donosi z Hankau: Angielska policya kazała pewnego kulisa śmiertelnie chorego przewieść do stacyi policyjnej. Ponieważ kulis w drodze zmarł, Chińczycy rozgłosili, że policya go zabiła. Powstały rozruchy. Kanonierka angielska i niemiecka wysadziły uzbrojone oddziały na ląd. — Tłum obrzucił je kamieniami. — W walce zabito 8 Chińczyków. Dla przywrócenia spokoju przybyło także wojsko chińskie. Sytuacya była zrazu poważną, lecz potem nastał spokój.

Stara miłość nie rdzewieje.

Wiedeń (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Poseł Olszewski ma zamiar ustąpić z komisyi parlamentarnej Koła. Na opróżnione w ten sposób miejsce wejdzie poparty głosami ludowców b. minister poseł Biliński.

LITERATURA I SZTUKA.

„WIOSNA".

(napisał Witołd Bunikiewicz 1911, G. Gebethner i Ska).

Tytuł znakomicie zaostrzony do nowego tomiku poezyi autora pięknej „Komedyi Olimpijskiej". Poezya młodości, pienie wiosennych podmuchów, modrego powietrza, nie przesyconego jeszcze miazmatami, jakie przynosi z sobą skwar dyszących chucią żywiołów.

W naszej poezyi lat ostatnich pieśń to bardzo znamienna, nie w znaczeniu typowem, przeciwnie — znamienność — to odrębna, zapowiedź może fali powrotnej uśmiechniętego szczęścia, wesele młodego beztroskliwego życia: „Śniegi opadły z naszej pięknej łąki, rozraduj czoło, zima już nie wróci". („Wiosna" utwór wstępny). Wiosna idzie: grają arfy czyste, chłopięta wybiegają ku przejrzystym źródłom ku raźnej zieleni" — czas wypędzić boleść marną, którą Zima nagromadziła w odrętwiałych sercach. Tomik niewielki, ale uśmiechu pogodnego w nim wiele, uśmiechu szczerego jak słońce wiosenne, niegrożące burzą, wiosennej błogosławionej radości, którą chciałby poeta obdarzyć cały świat, aby z nim razem święcił wiosenne gody.

Wierszom, opiewającym rozkosz życia, związanego z naturą, bijącego równem z nią tętnem, brakować musi wszelkiego frazeologicznego byzantynizmu. Szlachetna prostota formy, wolna od wszelkiej wybujałości kojarzy się ze szczerą, mocną, jasną treścią. To jest wielką zaletą tej książki. Najgoretszy przeciwnik młodej poezyi nie znajdzie tu nic, coby nienawiść jego podsycić mogło, z drugiej strony najsubtelniejszy, wytwornych rytmów i rymów spragniony esteta, z lubości zatopi się w lekturę tych pańsko-prostych, formalnie nienagannych utworów. Jako przykład przytoczę sonet zatytułowany „Ostatnia uczta":

Samotny ibis głowę w puchy skrzydeł chowa,
chryzantemy konają w wazach z ametystu,
modrookie tancerki i lutnistów trzystu
wygląda, rychło siędzie do uczty królowa.

Jak poranek, gdy rydwan z morskich fal wynurza,
tak weszła — i brzęknęły w struny srebrne cytry,
a ibis z miękich puchów łeb wyciągnął chytry,
wspanialszą bowiem była niż w cieplarniach róża.

Od dojrzałych winogron gną się pełne urny,
puhar krąży napojem nasycon po brzegi,
na syryjskim dywanie Antonius pochmurny,
mierzy łono królowej białe jako śniegi.

Niepomny, że zagubę chyże niosą wiatry,
bo trwalsza od piramid piękność Kleopatry.

Wiersz ten jest nietylko świadectwem pięknej prostoty stylu: jest w nim i coś więcej. Lekkomyślność osobista Antoniusa postawiona pod kątem tragedyi. Czciciel piękności będzie zawsze upadłym pretendentem do berła nad rzeczami przypadkowomi, czy to będzie berło z kości słoniowej, czy... słomiane. W całym tomiku snuje się ten ton: górą wartość prawdziwa, wartość wieczna. W „Madrygale" bierze poeta ślub z Tęsknotą, która jak królewna zaklęta budzi się wiosną; „gdy gaj się kwiatem wczesnym zamai, gdy amaranty w zieleń się wplotą. od tych pachnących na wiosnę gai... płyniesz, tęsknoto"... Tęsknota, jako pobudka do dążeń coraz szczytniejszych, jako ucieczka przed bolesnemi ukłóciami powszedniości. Ten szlachetny ton brzmi wszędzie, przyniosła go na swych skrzydłach jaskółczych Wiosnaniebianka, rozchylająca szeroko kwieciste bramy raju utraconego i zapraszająca doń znużonego, upadającego wędrowca: „Wejdź do ogrodu mojego i rwij kwiaty i słuchaj śpiewu ptaszyn moich, duszę zbolałą kąp w cudotwórczych zdrojach słonecznych i znów czuj, kochaj znowu i bądź — ach, bądź znowu człowiekiem!"

La Primavera Botticellego — wiosna siejąca z pogodnym uśmiechem róże i konwalie do stóp zmęczonej Duszy ludzkiej. Schylże się, Duszo i zbieraj i miej znowu przypomnienie swego raju... na długo, oby na jak najdłużej! *B. Butrymowicz.*

Miesięcznik literacki i artystyczny.

Pod tym tytułem ukazał się w dniu 15 b. m. pierwszy numer miesięcznika literacko-artystycznego, poświęconego jak z tytułu widać -- literaturze i sztuce a redagowanego przez Dra J. H. Rettingera. Zeszyt I. o grubości kilknaskuszowej, przedstawia się pod względem treści nader bogato, pod względem zewnętrznej strony bardzo estetycznie. Na treść składają się: początek powieści Władysława Orkana: „Jak było drzewiej", utwory poetyckie Ludwika Hieronima Morstina; K. M. Morawskiego: „Ze studyów nad kobietą polską w 18 wieku"; Artykuł K. Sichulskiego o Dunikowskim; „Ciasna Brama" Gide w tłumaczenin Jul. Germana; „Notatka o polskim chopie" K. Tetmajera; Rozprawka o języku polkim J. Rozwadowskiego; O literaturze polskiej, Rettingera; przekład B. Canuda o życiu artystycznem i literackiem Włoch; O muzyce Dra Jachimeckiego, O teatrze Pomiana i wreszcie Feliksa Jasieńskiego: „Manggha" poświęcona Wyczółkowskiemu. Liczne ryciny naszych pierwszorzędnych sił artystyczno-malarskich zdobią obfitą bardzo treść. Witając ten pierwszy zeszyt nowego czasopisma z żywem zadowoleniem wyrażamy przekonanie, że pismo to będzie jedną więcej podporą naszej literatury i sztuki.

Stanisław Kuczborski.

Sztuka polska, w szczególności sztuka malarska ciężką poniosła stratę.

Tragiczną śmiercią, bo wskutek zaczadzenia, umarł w Warszawie artysta malarz, młody jeszcze bo zaledwie 30 rok życia liczący, lecz już znany ogólnie, ceniony i sławny, artysta prawdziwie z Bożej łaski, najpiękniejsze jeszcze rokujący nadzieję — ś. p. Stanisław Kuczborski.

Strata to dla społeczeństwa naszego i dla sztuki wogóle tem cięższa, że zmarły przedwcześnie był jednym z najwybitniejszych przedstawicieli nowszych kierunków w malarstwie współczesnem, jednym z wodzów tego młodego pokolenia, które dotychczas jeszcze w sztuce nie mogło wypowiedzieć ostatniego słowa, a więc do pokolenia przyszłości.

Był on siostrzeńcem dwóch wielkich polskich mistrzów pędzla Maksa i Aleksandra Gierymskich i snać od nich odziedziczył talent malarski rodzinnym spadkiem. Urodzony 1881 roku w Warszawie, tam uczęszczał do szkół i tam też zaczął w sztuce się kształcić. Wyjechał następnie do Krakowa, był uczniem prof. Stanisławskiego i prof. Aksentowicza. Następnie studyował w Paryżu. Pierwiastkiem talentu Kuczborskiego było poczucie koloru. Z pobytu swego we Włoszech i Paryżu przywiózł doskonałe studya ruchu ulicznego, tkwił w nich talent obserwatora i wewnętrzne poczucie harmonii. Przed kilku laty zajmował się czynnie urządzeniem pośmiertnej wystawy Aleksandra Gierymskiego w Warszawie. Posiadając zacięcie humorysty, robił szarże i karykatury, a Momus warszawski zapoznał szerszą publiczność z jego doskonałemi sylwetami znanych osobistości.

Jako człowiek pełen idealizmu, serdeczności i prostoty, zawsze uprzejmy i swobodny, ś. p. Stanisław Kuczborski cieszył się i w kołach towarzyskich ogólnym szacunkiem i wielką sympatyą wszystkich, którzy go znali. Nagły jego zgon jest dla nich stratą wielką, a już ciosem dla jego najbliższych. Ś. p. Kuczborski osierocił żonę, z Munków Kuczborską i trzyletnią córkę.

Zgasł artysta wielki, lecz to, co już zdziałał zapisze jego nazwisko zaszczytnie a trwale w księdze dziejów sztuki polskiej i sztuki wogóle. Cześć jego pamięci.

*

Jeden z przyjaciół ś. p. zmarłego pisze nam:

W Warszawie zmarł wskutek zaczadzenia, utalentowany, młody artysta-malarz, Stanisław Kuczborski. Kto znał Go osobiście, kto znał Jego liczne już prace, kto wreszcie przyglądał się świetnie robionym karykaturom *Momusa* warszawskiego, temu na żałobną wieść łza mimowoli musiała się stoczyć z pod powiek; bo przyjaciele stracili w nim serdecznego druha, a malarstwo polskie zdolnego artystę. A żałość po nim musi być tem większą, że opuścił szeregi polskiej Cyganeryi w wieku tak młodym, kiedy systematyczny rozwój talentu i nieprzerwany ciąg coraz to nowych dzieł kazał rokować po nim daleko idące nadzieje.

Ś. p. Kuczborski był wykładnikiem nowych prądów we współczesnem polskiem malarstwie, szedł na czele tych, co zrywali z dotychczasową, utartą formą; stąd starzy widzieli w nim nowatora, młodzi swego przewodnika, a wszyscy otaczali Go tą czcią, jaka należy się ludziom niepoślednim.

Ś. p. Stanisław Kuczborski urodził się w Warszawie w r. 1881, gdzie po ukończeniu nauk szkolnych zaczął się kształcić w sztuce malarskiej. Te początkowe, elementarne studya dały mu podstawę do przyjęcia Go w poczet uczniów krakowskiej Akademii Sztuk pięknych. Tu oddał się z zapałem nauce; talentem i pracą kierowali dwaj głównie profesorowie: Stanisławski i Aksentowicz. Z chlubą ukończywszy studya w Krakowie, przedsiębrał liczne podróże w celach wyłącznie naukowych. Był we Włoszech, Francyi, Szwecyi; jako owoc każdej podróży przywozi z zagranicy szereg prac, które na wystawach dzieł polskiej sztuki spotkały się z ogólnem uznaniem i utwierdziły chlubne o Nim pozytywne sądy. Na konkursie Towarzystwa zachęty Sztuk otrzymał odznaczenie za obraz „Pogrzeb".

Obrazy swoje zamieszczał na wystawie krakowskiego stowarzyszenia „Sztuka", w „Secesyi" wiedeńskiej i w Monachium. Prace jego cechuje nadzwyczajny wprost zmysł obserwacyjny, poczucie ruchu, zwłaszcza zbiorowego, tudzież zdolność harmonijnego objęcia całości.

Oto krótka charakterystyka i żywot przedwcześnie zmarłego artysty. Nadzieje, jakie po nim rokowano, przeciął fatalny przypadek, okrywając żałobą nie tylko młodą żonę i dziecko, i tych wszystkich, którzy Go bliżej znali, ale i tych, co cieszyli się Nim za życia, jako przyszłą chlubą naszego polskiego malarstwa.

Krakowski Tydzień muzyczny.

Mimo karnawału dość obiecująco się zapowiadającego, ruch koncertowy nie osłabł — ubiegły bowiem tydzień muzyczny przyniósł dwie produkcye, będące wraz z popisami grudniowymi orkiestry monachijskiej — rzetelną ozdobą obecnego sezonu, któremu tak pięknie i rozumnie patronuje p. Trzciński.

W piątek grał spadkobierca wielkiego imienia pianistowskiego młody wirtuoz Artur Rubinstein. Program, jaki wykonał z Sonatą op. 106 na czele a bardziej sposób, w jaki go wykonał, przyniósł olbrzymią sumę zadowolenia estetycznego, niestety niedość licznym słuchaczom, którzy piękną, pilotu pełną i zrównoważoną grę nagradzali szczerymi oklaskami, żądając po ukończeniu audycyi naddatków.

Przepyszna, rozumnie oraz celowo użyta technika, nie zarzucana hałaśliwie słuchaczom, była środkiem doskonałym do przedstawienia Etud (As-dur i f-mol) Liszta, które w tem traktowaniu nie były czczym popisem wirtuozowskiej sprawności palców. — Krakowskich słuchaczy ujął Rubinstein przedewszystkiem prześlicznem odegraniem Sonaty h-mol a bardziej jeszcze Polonesa fis-mol op. 44 Chopina, którego też kilka utworów dodał nad program.

Wczoraj śpiewał w sali starego teatru Wiliam Miller, tenor wiedeńskiej opery nadwornej, dając wspaniały program, złożony z aryj operowych i kilku pieśni.

Nieznany w Krakowie śpiewak zdobył publiczność aryą z „Afrykanki", którą rozpoczął produkcyę, przedstawiając głos wspaniały o ujmującym dźwięku, tętniącym siłą metalu. -- Głos to urabiany w dobrej szkole a trzymany na wodzy w sposób rozumny jaki daje rutyna, zdobyta na pierwszorzędnej scenie. a umiejąca wyzyskać technicznie wszystko, co się tylko z bogatego materyału wyzyskać da. W miarę wykonania coraz to dalszych punktów programu, rozgrzewał się artysta porwany rzęsistymi oklaskami oraz ciepłem, jakiem go przyjmowała publiczność. Z jednaką precyzyą a z rosnącem podnieceniem wykonał aryę z Aidy (Celeste Aida) Rigoletta (La donna e mobile) wnosząc w aryę z Lohengrina (opowiadanie o Gralu) ciepło ogólne do punktu wrzenia entuzyazmu. — Znakomitemu śpiewakowi towarzyszył dyskretnie p. Eisler jako akompaniator doskonały jako solista pianista mierny.

Na obu koncertach publiczność nie zupełnie dopisała nie jawiąc się jak zazwyczaj tłumnie. Ci, którzy na obu koncertach nie byli, stracili kilku pięknych i podniosłych momentów.

Podobnie jak obie omawiane produkcye artystów obcych szczycących się sławą światową oraz szerokim rozgłosem, nie zdołały zapełnić sali starego teatru publicznością sił krakowskich. Koncert młodej pianistki p. Pauli Grosberg uzyskał tylko efekt artystyczny — sympatyczną bardzo i miłą panienkę przyjmowała nieliczna lecz najmuzykalniejsza publiczność bardzo ciepło i bardzo zachęcająco. Nagroda — najsłodsza dla każdego artysty oklaski — należały się młodocianej pianistce, choćby tylko za samą śmiałość wypełnienia wieczoru trzema „Koncertami", wykonanymi z towarzyszeniem orkiestry. P. Grosberg zagrała Mendelsohna „Koncert G-mol". Saint-Saensa „Koncert G-mol", oraz Czajkowskiego „Koncert B-mol". Pianistka rozporządza zgrabnem, jędrnem uderzeniem. którego technika zapowiada piękną przyszłość, szczerą muzykalność oraz gorący temperament. Trudy akompaniamentu poniosła doskonała orkiestra p. Hocka, którego czujna batuta oraz znana przytomność muzycznego umysłu zawsze wczas stawała solistce w potrzebie.

Ostatnim evenementem był „I. Koncert popularny symfoniczny" Towarzystwa muzycznego. Zalecał się przedewszystkiem poprawnem odegraniem „Symfonii IV E-moll op. 98", Brahmsa, którą rozpoczęto produkcyę, tudzież „Odwiecznej pieśni" Karłowicza, którą zakończono produkcyę. W ramy popisów orkiestralnych wstawiono występ chórów mieszanych Twa, które wykonały Lottiego „Crucifixus", oraz Palestryny „Improperia" — utwory piękne lecz stosowniejsze w świątyni, aniżeli w dobie karnawałowej na estradzie — wykonane jednak bez zarzutu, a nawet (szczególniej Palestryny) z pewną precyzyą, wskazującą na duże postępy w rozwoju chórów. Jako solistka popisywała się sympatycznie znana krakowskiej publiczności z występów operowych p. Wanda Hendrychówna, obecnie śpiewaczka opery poznańskiej. Wykonała Szymanowskiego „Łabędzia" oraz Pucciniego aryę z „Madame Butterfly", dorzucając nad program jakiś srogi elaborat nowoczesnego kunsztu pieśniarskiego. *Fotel 66.*

Korespondencye.

Rzeszów, dnia 21 stycznia 1911

(Z działalności „Lutni". — Porządki miejskie. — Urania).

Istnieje w naszem mieście jedno jedyne Towarzystwo muzyczne pod nazwą „Lutnia", założone w roku 1904, cieszące się dotychczas ogromną sympatyą u miejscowej publiczności. Ongiś przed laty jeszcze pod dyrygenturą tak zasłużonych ludzi jak p. Uruski, Towarzystwo to ślicznie prosperowało, dając na koncentach wspaniałe rzeczy. Za czasów smutnej pamięci pana Z. G. Urbany'ego, który tak niesympatycznie a nawet wprost skandalicznie zapisał się w pamięci „Lutnistów", wystawiono „Verbum nobile" — „Cyganeryę", urywki ze „Strasznego dworu", które to rzeczy ogromną sympatyę Towarzystwu zjednały. Odkąd został obrany dyrygentem p. Bodzynowski, człowiek światły, z początku rwał się do pracy kierowany ambicyą. Owocem jego niezmordowanej pracy było „Stworzenie świata", wielkie oratoryum Haydna. Teraz jednak od dłuższego czasu człowiek ten czy to ze względów narodowych (jest Rusinem), czy też z innych przyczyn rzuca w zaniedbanie tę wdzięczną pracę, która spada na barki człowieka wielkich chęci, ale małych pod tym względem zdolności prof. Dębskiego. Na całem polu następuje teraz zupełna stagnacya — od roku niemal nic się nie dało, zbywając publiczność kilku zaledwie o małej wartości artystycznej koncercikami, na których oddano same utwory muzyki niemieckiej.

Parę polskich utworów zbyto tak, że szanowna nasza publiczność straciła zupełnie ochotę do muzyki polskiej.

W ostatnich czasach Towarzystwo chcąc ratować swoją sławę postanowiło urządzać co pewien czas w lokalu własnym tak zwane „Wieczory kameralne". Pierwszy taki poświęcony wyłącznie Bethovenowi miał miejsce w niedzielę ubiegłą dnia 15 b. m. Program wypełniły same utwory muzyczne Bethovena, wykonanie było artystyczne. Jednego tylko Towarzystwo powinno unikać, tj. nie dawać w szczupłym lokalu tak hucznych i żywiołowo potężnych kawałków chórowych jak: „Niebiosa głoszą" Bethovena. Spodziewamy się, że Towarzystwo zacznie na nowo prosperować jak dawniej i wykorzysta te ochocze, młode siły, dając nam usłyszeć utwory wielkich naszych muzyków.

Miasto nasze liczące obecnie prawie 24 tysiące mieszkańców powoli pcha się do świata, chce się na gwałt stać wielkiem miastem europejskiem — jednak dotychczas nie może wybrnąć z prowincyonalnego brudu i śmiecia a to dzięki pięknej gospodarce miejskiej. Wprawdzie szanowny Magistrat sprowadził jedną nową maszynę do zamiatania ulic, jednak ze względu na to, by jako nowa wnet się nie zniszczyła, wyciąga ją z pięknego schowka tylko raz w tygodniu.

Na szeroką skalę budują się w naszem mieście elektrownię, zakłada kable podziemne i nadpowietrzne by temu miastu nadać jakiś przyzwoity wygląd, a tymczasem pod nogami błoto, błoto i błoto.

Teatr kinematograficzny „Urania" mieszczący się w domu p. P. Kinza, choć niedawno założony, zjednał sobie ogólną sympatyę pięknymi i doskonale odtwarzanymi obrazami. — Smutne tylko to, że tak młode Towarzystwo już ośmiela się drażnić nasze uczucia narodowe, afiszując się językiem „Kulturträgerów z nad Sprewy" co niedawno miało miejsce.

Przemyśl, dnia 21 stycznia 1911.

Tramwajowe koncesye. — Jubileusz. — Dom rękodzielniczy. Sport w rękodziele. — Coś o nieboszczykach).

Wreszcie i Przemyśl dostał tramwaj elektryczny — na razie w postaci tzw. „Vorkonzession", którą znany lekarz tutejszy r. dw. S. M. Kutna otrzymał z Wiednia. To jest tedy już tak pewne, jak recepta na lekarstwo, którą kupić od biedy można, ale jeszcze niewiadomo czy pomoże pacyentowi. Z tym tramwajem jest dużo hałasu w mieście, wszyscy się interesują tą piękną myślą — ale jakże trudno o środki materyalne. A do tego zapał trwa na całej linii, która niespodziewanie się załamuje, kiedy wydział spółki tramwajowej ośmieli się wstydliwie wyciągnąć rękę po pieniądze na uruchomienie tramwaju elektrycznego. Mimoto jednak istnieje nadzieja, że tramwaj elektryczny może prędzej obchodzić będzie conajmniej pięcioletni jubileusz koncesyi niż samego przenaśladowcy.

Bo u nas łatwiej o jubileusz niż o czyn. Tak się np. stało z „Gwiazdą", która w ostatnich latach najgłośniejszą była dzięki lekcyom tańców, aranżowanym przez jednego z nielicznych Gwiazdaków. Ta nauka choreografii zjednała Gwieździe liczne uznania w sferach młodocianej publiczności. A jednak „Gwiazda" obchodziła huczny jubileusz swojego 40-letniego istnienia wedle nienagannego programu, obowiązującego jak kodeks karny każde galicyjskie mieszczańskie stowarzyszenie, w ostatnich momentach zaściankowych dziejów. Nabożeństwo, przemówienie de omnibus rebus et quibusdam aliis, potem pijatyka aż do utraty zmysłów i równowagi w nogach, nawet podczas siedzenia. Epilogiem każdego takiego jubileuszu jest siarczysty kociokwik z pochodniami, względnie z latarniami elektrycznemi, które wobec rozbawionych gości na ulicach ćwiczą się w tańcach. Mimo to „Gwiazda" ma własny gmach, kilku korsorów i długów sporo.

Mniej hucznie, ale skutecznie pracuje stow. „Jad Charuzim" („Ręka pracy"), która przygotowuje się do budowy własnego domu rękodzielniczego na gruncie, który wydział z prezesem adw. dr. B. Herzigiem na czele otrzymał prawie bezpłatnie od gminy. Na cel budowy hojnie płyną datki honorowe ze sfer zwłaszcza burżuazyi żydowskiej. Wykaz darczyńców ogłasza się regularnie w organie tutejszych postępowców („Nowy Głos Przemyski"), a wiadomo, że ludzie lubią czytać swoje nazwiska w dobrem świetle.

Wiele się robi dla podniesienia rękodzieła, skoro onegdaj otwarto w lokalu tow. „Przyjaźń" kurs nauki kroju staraniem lwowskiego muzeum technologicznego. Naukę pobiera 16 frekwentantów, przyjętych po długich a ciężkich cierpieniach za stypendyum dziennem po 2 korony. Kurs potrwa 6 tygodni, niewiadomo tylko, czy muzeum technologiczne i frekwentanci będą z niego zadowoleni, gdyż niestety robotnicy z samego wykształcenia zawodowego nie mogą jeszcze wyżyć. To pewne, że pan Zaróśliński, który kursem kieruje i udziela nauki, będzie z pewnością zadowolony, bo ma pojętnych uczniów i jeszcze pojętniejszych protektorów. Ci dopiero zrozumieli całą doniosłość naukowego rzemiosła, które w kulturalnych krajach ma pewne znaczenie, ale w naszym „Bärenlandzie" odgrywa coś w rodzaju sportu, w tym naszym kraju, którego większość przymiera głodem. Kursy rękodzielnicze, skoro drobne rękodzieło kona w uściskach nędzy i w szponach lichwy, to coś w rodzaju mimowolnej ironii, której niestety nie brak u nas nigdy.

Nie brak też jednak obok szaraczków i porządnego towarzystwa, które dobrze żyje, ale też nie źle umiera. Ostatnio zmarł to ks. dr. Józef Czerlunczakiewicz, emerytowany profesor teologii na uniwersytecie lwowskim i krakowskim, w wieku 82 lat. Był to uczony, który duchem i przyzwyczajeniami należał do minionego pokolenia. Z upodobań był oryginałem, politycznie, acz Rusin, był gorącym przyjacielem Polaków. Zupełna niezależność uprawniała go poniekąd do śmiałych figlów politycznych. Jednym z takich niezapomnianych epizodów było oddanie przez śp. Czerlunczakiewicza podczas ostatnich wyborów do sejmu głosu na socyalistę dra Liebermana mimo, iż kandydowali dr. Doliński i dr. Tarnawski. Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie na członkach komisyi wyborczej wywarł fakt, iż profesor uniwersytetu i ksiądz w jawnem głosowaniu głosuje na socyalistę.

Mniej łaskawym dla socyalistów był onegdaj zmarły inspektor kolejowy Jan Szyjkowski, liczący lat 66. Kiedy był w czynnej służbie znany był z bezwzględności i surowego obchodzenia się z podwładnymi, którzy też za to nie darzyli go szczególnymi względami. Ale „de mortuis nihil nisi bene" nawet wówczas jeśli się idzie przebojem przeciw przesądom.

Jarosław, dnia 21 stycznia 1911.

Nowoczesna nocna wędrówka pociągu kolei, czyli „wypadek kolejowy na tle sparsystemu". — Historya procesu radców miejskich. — Adwentowicz w „Upiorach" Ibsena. — Groźny pożar. — Król włamywaczy.

Noc z niedzieli dnia 16 b. m powinna przyszłemu historykowi wskazać, jakiemi to drogami kroczy nasz „sparsystem" kolejowy i na jakie niespodzianki naraża zarząd kolei „państwowych" we formie spacerów podróżnych e północy, za drogie karty kolejowe. Bo oto lokomotywa pociągu „osobowego" Nr. 20 wyjeżdżającego o godz. 7.35 wieczór ze Lwowa, a przybywająca o 11·16 w nocy do Jarosławia, ze względu na swój podeszły wiek zgłosiła kilka kilometrów przed Muniną (stacya przed Jarosławiem) bierny opór, odmówiła posłuszeństwa, zacięła się i absolutnie dalej „pracować na kolej" nie chciała, chcąc tem zaznaczyć, że już powinna przejść w zasłużony stan spoczynku. Wszelkie próby przebłagania ze strony maszynisty nie zdały się na nic. Potrzeba było dopiero telefonicznie wzywać pomocy innej lokomotywy z Przemyśla, która cały pociąg pchała do Jarosławia, dokąd pociąg zamiast o 11·16 dopiero około 2 w nocy spacerowym krokiem przybył, a w ślad za nim też obok spacerujący podróżni, którzy zniecierpliwieni przydługą jazdą pchanego po lądu, towarzyszyli pociągowi pieszo.

W niedzielę odegrał lwowski teatr ludowy z artystycznym współudziałem Karola Adwentowicza, Ibsena „Upiory". Za znakomitą kreacyę Oswalda zbierał p. K. Adwentowicz gromkie oklaski. Również i gra całego artystycznego zespołu, zyskała poklask ogólny.

We środę 18 b. m. przed poł. wybuchł w domu p. Pfeffera w rynku groźny pożar, który jednak dzięki szybkiej pomocy zdołano szybko zlokalizować. Niebezpieczeństwo było tem groźniejsze, że dom ten posiada wspólną ścianę z gmachem szkoły ludowej męskiej i żeńskiej, poza którą właśnie ogień wybuchł. Okazało się przytem, jak wielkiej wagi są alarmy próbnego pożaru w szkołach. Dzieci bowiem we wzorowym porządku w ciągu kilku minut zdołano szkoły opróżnić. Ogień wybuchł z niewiadomej przyczyny w magazynach p. Pfeffera na pierwszem piętrze, zawierającym wielką ilość zimowej bielizny, tudzież moc wyrobów włóczkowych. Szkoda w znacznej części ubezpieczona sięga kwoty 30.000 kor. Nie obeszło się też bez wypadku. Zamieszkały w przyległym magazynowi pokoju chory 80-letni p. L. wybiegł z pomieszkania i padł zemdlony na korytarzu. Dopiero po dłuższem cucenia, zdołano go przywrócić do życia.

Tarnów, dnia 21 stycznia 1911.

Jakeśmy już nieraz zauważyli wszystko w Tarnowie idzie żółwim krokiem, pomimo, albo może właśnie dla tego, że burmistrz i magistrat tak są zajęci, że nawet nie mają czasu zwołać posiedzenia rady.

Ale w tym tygodniu burmistrz naprawdę był zajęty, bo we środę i czwartek była w Tarnowie komisya polityczna obchodu trasy tramwajowej, która po długich korowodach i nieznacznych zmianach w planie nareszcie się zgodziła na wydanie koncesyi wstępnej, tak, że z nastaniem odpowiedniej pory, przystąpić będzie można do robót koło ułożenia toru etc. i nie ulega wątpliwości, że wracając z wakacyi w tym roku będziemy mogli z dworca elektryzą do miasta pojechać.

A *propós* dworca. Mamy ładny dworzec kolejowy, ale co z tego, kiedy równocześnie z jego otwarciem zaprowadzono na niem stan wyjątkowy, jakiego na całym świecie nie ma.

Wstęp do poczekalni wzbroniony, bo z reguły na klucz zamknięta, a do restauracyi nie każdy chce albo może wejść.

Gdyby chociaż w westybulu było kilka ławek, gdzieby można sobie odpocząć po dość znacznej drodze na dworzec.

A teraz kilka słów o rabinie tutejszym. Rabin Schnur powinien pamiętać, że nie nos dla tabakiery, ale tabakiera dla nosa, że jest nie po to, aby pieniądze brać i wmawiać sobie, że wszyscy muszą tak tańczyć, jak on gwizda. Zapomina p. Schnur również, że żyjemy w XX. wieku i że nie można świata cofnąć o kilka wieków wstecz. Na każdym ślubie i na każdym pogrzebie, o ile to ma miejsce w rodzinie postępowej, wywołuje ten pan zgorszenie. Raz nie pozwala złożyć zwłok na karawan, drugi raz nie podoba mu się ornat kantora. Wypowiada on wojnę wszystkiemu, co idzie z postępem. Zapowiadamy jednak, że jeżeli rabin Schnur nie zmieni postępowania swego, to zawiadomimy ogół więcej szczegółowo o jego czynnościach i nie ustaniemy, aż p. Schnur nie zrobi miejsca innemu, światlejszemu człowiekowi.

Sigma.

Bochnia, dnia 21 stycznia 1911.

Wodociągi i kanalizacya.

Dzięki inicyatywie kilku radnych miejskich z lat poprzednich, doczekaliśmy się w mieście naszem wodociągów i kanalizacyi, wodę mamy znakomitą i w dostatecznej ilości.

Finanse miasta nieszczególne nie pozwalały na pokrycie tej epokowej inwestycyi, to też za przykładem miast większych musiano się udać do zaciągnięcia znaczniejszej pożyczki, częścią do skonwertowania dawniejszych długów miejskich, reszta zaś miała pokryć objęte kosztorysem inwestycye, t. j. wodę, kanalizacyę i oświetlenie miasta.

Wstępne badania projekty i kosztorysy sporządzone przez fachowe organa miejskie, wykazały z opłat za wodę i oświetlenie, dochody wystarczające w zupełności na amortyzacyę tej olbrzymiej na nasze stosunki inwestycyi (około 2 milionów kor.) co przekonało nawet więcej pesymistycznie usposobionych i ostrożniejszych radców miejskich i spowodowało jednomyślną uchwałę tychże inwestycyi.

Przy końcu jednak budowy wodociągów nastąpiło rozczarowanie, gdy się dowiedziano, że na oświetlenie miasta nie zostało żadnych funduszów, co więcej, nie dokończono kosztorysowej sieci wodociągu na przedmieściu „Wójtowstwo" gdzie miał być osobny zbiornik na wodę, jak również nie przeprowadzono drugiej odnogi kanału przez ul. Proszowską do Raby, co wszystko było objęte kosztorysem.

Nic też dziwnego, że mieszkańcy Bochni rozczarowani wynikiem tych przedsiębiorstw, z niecierpliwością wyczekują przeprowadzenia kollaudacyi i zestawienia rachunków z tych inwestycyi, a mają do tego wszelkie prawa, jeżeli bowiem rachunek rentowności przedsiębiorstw (oświetlenie), których niema, a które pożyczką objęte były, nie pokryje procentów i amortyzacyi zaciągniętej na ten cel pożyczki, mogą w niedalekiej przyszłości oczekiwać nowych ciężarów w postaci dodatków gminnych.

Wielką odpowiedzialność w tym wypadku wziął na siebie burmistrz p. Dr Maiss, nie dopuszczając do kontroli tych robót nikogo z łona rady miejskiej, komisya inwestycyjna istniejąca na papierze nie funkcyonowała nigdy w czasie robót, gdyż nie była przez p. burmistrza zwoływana, sprawdzenie zaś dzisiaj wykopów, wymiarów rur i t. p. niewidocznych. bo zasypanych robót, jest prawie niemożliwem, lub połączone z nadzwyczajnymi kosztami.

Dziwna rzecz, że rada miejska nie żąda energicznie ostatecznego zestawienia i zakończenia rachunków inwestycyjnych, wiedząc już dzisiaj o znacznych przekroczeniach kosztorysu.

Od komisyi kontrolującej żądają obywatele skrupulatnego zbadania rachunków, cen za dostarczone materyały, co koniecznem byłoby dla uspokojenia obywateli wobec krążących po mieście pogłosek o przepłacaniu o 30% przez magistrat rur instalacyjnych, które niewiadomo z jakiego powodu nie zostały sprowadzone wprost z fabryki, lecz przez miejscowego pośrednika, temwięcej, że rozchodziło się tu o wagonowe dostawy.

Nakładca redaktor i wydawca: Zygmunt Rosner. Redaktor odpowiedzialny: Feliks Szczepanik. Druk A. Rippera w Krakowie